

WYDAWNICTWO WAM

**KS. JAN
KACZKOWSKI**

nieco poważniej **niż zwykle**

**Grunt
pod
nogami**

**KS. JAN
KACZKOWSKI**

nieco poważniej **niż zwykle**

**Grunt
pod
nogami**

Z drzeniem niepewności oddaję do Państwa rąk moje nieporadne wysiłki kaznodziejskie. W części nagrane, a w części spisane i przelane na papier. Zasadniczo zamykają się pomiędzy styczniem 2013 a lipcem 2015 roku. To czas mojej choroby. Nie pamiętam i nie jestem w stanie odtworzyć wcześniejszych. Trudno powiedzieć, czy były lepsze, czy gorsze. Proszę ocenić, czy widzą Państwo jakiś rozwój w okresie tych bez mała trzech lat.

Zawsze byłem przeciwnikiem wydawania kazań. Uważałem to za przejaw pychy. Jak widać, i w tym aspekcie życie zmusza mnie do rewizji poglądów.

Za wszelkie banały, oczywistości i powtórzenia przepraszam. Czym innym jest mówienie z ambony. O wiele trudniej przelać to na papier. Tym większe podziękowania dla Joanny Podsadeckiej, która te kazania przesłuchała, w pewnym sensie oczyściła i skompilowała. Wybraliśmy teksty, naszym zdaniem, najbardziej reprezentatywne.

Kazania zawsze mówię z głowy (mój ojciec zauważa: „To znaczy z niczego”). Ze względu na słaby wzrok, przygotowując się, nie piszę słowo w słowo, jak całość ma brzmieć. Jeżeli już, to na dużej kartce notuję wielkimi literami punkty w kolejności. Uczę się ich niemal na pamięć, żeby – gdy coś mnie rozproszy albo się zgubię – móc wrócić na właściwe tory (jestem mistrzem dygresji).

Kazania w większości są tzw. kazaniem żebraczymi wygłoszonymi w różnych kościołach w Polsce (w Starogardzie Gdańskim, Warszawie, Krakowie, Sopocie, Płocku, Gdyni i Legnicy) oraz za granicą (w Niemczech, Wielkiej Brytanii i Szwajcarii). Stąd powtarzany apel o wsparcie hospicjum. Tam, gdzie się dało, podczas redakcji robiliśmy wszystko, by go Państwu oszczędzić. Ponadto książka zawiera kilka moich puckich wystąpień, jedną turę rekolekcji wraz z Drogą Krzyżową (odbyły się w marcu 2015 r. w Warszawie) i okazjonalną konferencję o spowiedzi (zostałem na nią zaproszony do Płocka). Czasem odnoszę się do bieżących wydarzeń, mam nadzieję, że nie będzie to Państwu przeszkadzało w lekturze.

Kiedy po raz kolejny została mi przeczytana całość, zwróciłem uwagę, że nadużywam sformułowania „proszę zwrócić uwagę”. W przyszłości proszę mnie pilnować i proszę zwrócić uwagę, czy się poprawiam.

Piszę te słowa podczas kolejnego życiowego wirażu, znów czekam na wyniki rezonansu... Proszę o modlitwę*.

Wasz Jan

* Oczywiście po łacinie. Wszyscy wiemy, że On w tym języku najlepiej rozumie. Polskiego ponoć dopiero się uczy. Czym jest 50 lat od Soboru w kontekście wieczności Boga...

Część pierwsza

1.

Lek na lęk

Dziękuję ci, mój raku,
że wyzwoliłeś mnie z wielu strachów.

Drodzy państwo!

W hospicjum, którego jestem szefem, mamy do czynienia z życiem kruchym, wątłym. Można powiedzieć – z gasnącym knotkiem i nadłamanym istnieniem, bo często przebywają u nas ludzie chorzy na nowotwory, w krańcowej fazie, a także cierpiący na inne ciężkie schorzenia geriatryczne.

Czy tego przytaczanego dziś fragmentu Pisma Świętego: „Nie złamie trzciny nadłamanej, nie zagasi knotka o nikłym płomyku”, nie można zinterpretować jako zakazu eutanazji? Powiecie, że znowu prowokuję.

W tym roku zbiegły się dwie zbiórki: na puckie hospicjum i na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy, którą kieruje pan Jurek Owsiak. To nie było planowane. Co roku staram się nie mówić kazań, kiedy on ze swoją orkiestrą gra. Robię to często wbrew duchowieństwu, które go nie popiera. Uważam, że nie mamy monopolu na dobro. Naprawdę nie ma powodu, by sabotować akcję, która przynosi nam tyle pożytku. „Po owocach ich poznacie” – mówi Pismo Święte. Na jakikolwiek oddział szpitalny dziecięcy czy geriatryczny wejść, łącznie z naszym hospicjum, widzę sprzęt oznaczony serduszkami. Skala tego przedsięwzięcia jest powalająca.

Nie będę polemizował agresywnie z panem Owsakiem, bo go cenię i lubię. Jego niedawną wypowiedź na temat eutanazji uznaję za niefortunną. Sądzę, że mówiąc o „pomocy starszym w cierpieniach”, miał dobre intencje. Pewnie chodziło mu o odstąpienie od terapii uporczywej. Może dobrze się stało, że rozgorzała wokół tego dyskusja? Może ona pomoże nam zrozumieć, dlaczego Kościół tak zdecydowanie mówi eutanazji „nie!”. Mówi „nie!” takiemu działaniu, które zmierza do usunięcia człowieka tylko dlatego, że jest chory, albo tylko dlatego, że jest nieprzytomny. Kościół uważa, że nie można utracić prawa do życia. Nawet najbardziej cierpiący czy – jak mówią niektórzy – najbardziej odczłowieczony przez cierpienie człowiek nie przestaje być osobą. Nie można utracić godności osoby. To by wywróciło do góry nogami całą antropologię. Przytomni i sprawni będą predestynowani do tego, żeby dalej być ludźmi, a słabsi tę możliwość utracą, będą nazywani, już są nazywani „roślinkami”. Mówi się o nich, że wegetują, że są „byłymi organizmami ludzkimi”. To nieprawda, nie można być byłym człowiekiem, spaść na drabinie rozwoju do punktu bycia zwierzęciem lub rośliną. Jeżeli tego nie przyznamy, to dopracujemy się czegoś potwornego, będziemy się chcieli pozbyć balastu, który nas obciąża mentalnie i – nie daj, Panie Boże – finansowo.

Jeszcze machasz nogą, zarabiasz na sobie, gadasz, to znaczy, że jeszcze

jesteś człowiekiem. Nie da się być byłym człowiekiem, dokładnie tak samo, jak się nie da być podczłowiekiem. Wiedzą państwo przecież, czym to pachnie. Dopracowalibyśmy się społeczeństwa czystych, zarabiających, pięknych i tych, którzy spełniają kryteria.

Gdybyśmy się zgodzili na eutanazję, tobyśmy się zgodzili na to, by medycyna przestała służyć człowiekowi, zaczęła go oceniać pod względem jakości, patrzeć na niego z punktu widzenia jego przydatności albo szkodliwości dla społeczeństwa.

Kolejna rzecz: niezgoda na degradację medycyny. Medycyna ma człowieka leczyć, a nie zabijać. Jeżeli zgodzimy się na usuwanie tych, którzy bardzo cierpią fizycznie lub psychicznie – także za ich zgodą – to medycyna zaprzeczy sama sobie. Tą samą ręką będzie leczyć i unicestwiać, korzystając z tej samej wiedzy medycznej. Żadnej misji, tylko odpowiedź na zamówienie. Ponadto będzie się samodegradować. Przestanie szukać sposobów radzenia sobie z bólem, bo skoro usuwamy tych, których bardzo boli, to nie ma przestrzeni dla nowych leków, nowych badań, nowych rozwiązań. Jeszcze dwadzieścia lat temu choroba nowotworowa wiązała się z nieuchronnym bólem, a obecnie jesteśmy w stanie kontrolować ponad 95 procent trudnych do zniesienia objawów.

Dla przeciwwagi zdecydowanie należy sprzeciwić się wszelkiej uporczywości terapeutycznej.

Proszę sobie wyobrazić pacjenta, który ma rozsiany nowotwór. Jasne, że za pomocą różnej aparatury potrafimy utrzymywać go przy życiu kolejny dzień, tydzień, multiplikując w sposób niewyobrażalny cierpienie. Zawsze jednak trzeba zapytać: „po co?”. Czy to życie w jego czy każdym innym przypadku ma sens?

Kościół nie walczy ze śmiercią, bo wierzy, że wraz z nią nie kończy się wszystko. Dlatego należy bezwzględnie odstąpić lub wycofać się z terapii uporczywej, która jest zawsze zakazana moralnie. Nigdy jednak nie można odstąpić od terapii paliatywnej, czyli od zwykłej opieki. Pacjent nie może umrzeć z bólu, głodu, pragnienia, nie możemy pozwolić mu się świadomie udusić.

Są jednak sytuacje ekstremalne, kiedy na przykład istnieje perforacja jelit i pokarm szkodzi, bo wylewa się do otrzewnej. Wówczas nie wolno podać jedzenia i to nie będzie zbrodnia.

Jeżeli kroplówki nie służą pacjentowi, którego nogi są bardzo spuchnięte, a płuca pełne wody, musimy zrezygnować z dożylnego

podawania płynów. Jeśli ból jest tak ogromny, że jedynym sposobem walki z nim jest podawanie coraz większej dawki leków, nawet przy założeniu, że to może doprowadzić do wcześniejszego zgonu, mamy prawo je podać. Robimy to nie po to, żeby pacjenta zabić, ale po to, by go nie bolało i żeby mu się łatwiej oddychało. Intencja, z jaką podajemy leki, się liczy. Proszę zobaczyć, jaka to jest cienka granica. Gdybyśmy specjalnie podali ich więcej, żeby człowieka zabić, byłibyśmy winni eutanazji. Ale jeżeli mamy intencję, by pomóc, a śmierć pojawia się jako skutek przez nas niechciany, jedynie tolerowany i przyjmowany do wiadomości, to jest to moralnie poprawne. Wszystko dzieje się na poziomie naszej głowy i naszego sumienia.

Wypowiadając słowa przysięgi Hipokratesa, która obowiązywała do drugiej wojny światowej, lekarze deklarowali, że będą służyli człowiekowi, czyli jednostce. W 1948 roku zmodyfikowano tę przysięgę o jedno słowo. W miejsce „człowieka” pojawiła się „ludzkość”. Wydaje się, że nic się nie zmieniło, ale ilu tyranów chciało służyć ludzkości, na przykład eliminując niepełnosprawnych, Żydów albo inne grupy społeczne... Hitler i Stalin mordowali miliony w imię dobra ludzkości. Trzeba się wsłuchiwać także w to, co mówią przepisy prawa.

Jak ktoś mi mówi, że dla dobra narodu trzeba poświęcić jednostkę, to ja cały chodzę. Jak mi ktoś wmawia, że pewni ludzie są mniej wartościowi, jak katolik przyznaje, że jest antysemitą albo rasistą, to we mnie się wszystko burzy. Katolik nie może być anty drugi człowiek, zwłaszcza kiedy ten drugi jest słaby, chory. Im bardziej ktoś jest inny, im bardziej ktoś jest dziwny, tym bardziej ma twarz Chrystusa. Bywają tacy, którzy nawet katolicyzm uzasadniają swoim antysemityzmem. A przecież skoro Chrystus był Żydem, skoro Matka Najświętsza była Żydówką, to Żydzi są naszymi braćmi, których powinniśmy szanować i kochać. Oczywiście, że zdarzają się wśród jednych i drugich lepsi, a także gorsi ludzie, ale granica nie przebiega pomiędzy rasami i narodami, ale pomiędzy sumieniami, a czasem pośrodku sumień.

Kościół absolutnie nie jest za tym, żeby cierpiący w ostatniej fazie choroby był podtrzymywany przy życiu za wszelką cenę. Kościół nie walczy ze śmiercią tak, żeby nie pozwolić jej nadejść, czyli podłączać umierających do wszystkich możliwych maszyn. Dlatego jestem za „testamentem życia”. Nie wszystko, co technicznie możliwe, jest godziwe etycznie. Eutanazja – nie, odstąpienie od terapii – tak, „testament życia” – tak, by każdy mógł w nim wyrazić swoją wolę dotyczącą tego, na jakie procedury medyczne pod

koniec życia się zgadza, a na jakie nie. Mam nadzieję, że to zagadnienie doczeka się poważnej dyskusji w parlamencie. Chciałbym, żeby posłowie, szczególnie ci z prawej strony, nie wrzeszczeli, że jest to wprowadzanie eutanazji tylnymi drzwiami, bo to nieprawda. „Testament życia” jest wypełnianiem woli pacjenta. Śmiertelny zastrzyk to byłaby eutanazja, ale odstępianie np. od dializy, na jakie zdecydował się Jan Paweł II – nie.

Więc jeżeli to pan Owsiak miał na myśli, to się z nim zgadzam. Ja – dyrektor hospicjum chorujący na nowotwór. Mam glejaka mózgu (czwartego stopnia). Już gorzej wylosować się nie dało. Gorzej rokuje chyba tylko nowotwór trzustki. Glejaka wykryto u mnie 1 czerwca 2012 roku, dano mi najpierw sześć miesięcy życia, potem czternaście. Nie chcę być jak brazylijski wyciskacz łez... Może powiem tylko, że gdy się o tym dowiedziałem, byłem wściekły. Oczywiście, poddałem się dwóm operacjom, chemioterapii. Wycięto mi tego guza prawie w całości. Prawie, bo glejaka nie da się w całości wyciąć, ponieważ odnózkami wrasta w mózg.

I teraz pytanie, Janie, do ciebie, cwaniaczku. Teoretycznie łatwo ci mówić o chorowaniu. Ale jak się teraz wobec tego ustawisz? Czy będziesz panikował? Czy będziesz szalał? Kurczowo trzymał się życia? Robił sceny? Bał się? Jasne, że się boję. Ewangelia stawia przede mną wyzwanie, bo „wszyscy snuli domysły w sercach co do Jana”. No właśnie, jak on przez to przejdzie? Trzeba nauczyć się przeżyć godnie własną śmierć. I tego nie mówię do was, lecz do siebie. Przeżyć godnie własną śmierć. Jak to zrobić? Mam dwie opcje – albo kurczowo trzymać się życia i tak naprawdę zachować się niegodnie, albo żyć aktywnie, nawet za cenę skrócenia życia, ale tak, jak chcę i jak należy. Wybieram tę drugą opcję.

Dzisiaj mówię kazania cały dzień, za tydzień znów będę mówił cały dzień, podobnie będzie za dwa tygodnie. To jest mój świadomy wybór. Nawet jeśli ta aktywność skróci moje życie o miesiąc, dwa, to tak chcę, wybieram to.

Wtedy, kiedy będę już odchodził (wszystko jedno, czy w domu, czy w moim hospicjum, czy gdziekolwiek indziej, gdzie mnie ta śmierć zastanie), gdy będzie już ze mną bardzo źle, chciałbym, żeby podano mi leki sedatywne. Nie boję się bólu, bo wiem, że da się go kontrolować, ale boję się nieporadności, tego, że będę się zachowywał nielogicznie – rano jeszcze coś kojarzył, mówił z sensem, a wieczorem mózg mi spuchnie i będę pluł kaszką. Właśnie dlatego chciałbym, żeby wtedy podano mi takie leki, po których będę spał i mógł odejść spokojnie, we śnie, na własnym oddechu, bez

żadnego respiratora.

Własnej śmierci nie da się schrzanić, że tak powiem. Nie zdarzyło się, by ktoś nieskutecznie umarł. Ale da się, niestety, schrzanić to wszystko, co jest wokół śmierci. Czyli muszę najbliższych przez moją śmierć przenieść, niestety na własnych plecach. Już ich do tego przygotowuję. Mam nadzieję, że to mi się uda. Mam do was tylko jedną prośbę: żebyście mnie nie żałowali, w tym sensie, byście się nade mną nie litowali. Proszę o modlitwę. Dużo modlitwy czuję w kręgosłupie, wielu ludzi się za mnie modli. Ale naprawdę ciężkie jest takie pocieszanie: „na pewno ksiądz da radę”. Nie wiem, czy dam radę. Będę się starał.

Umówiłem się z moją panią doktor, że przeżyję dane mi po postawieniu diagnozy czternaście miesięcy, może trochę dłużej, a ona na mnie zrobi habilitację jako na człowieku, który zaprzeczył medycynie.

Jakie mam jeszcze marzenia? Dokończyć habilitację i skrypt dla lekarzy o przekazywaniu trudnych wiadomości pacjentom. Pojechać do jakiegoś ciepłego kraju, wygrzać się na plaży, wykąpać. Ale moim największym marzeniem jest to, żeby nie padło hospicjum w Pucku. To jest moje dzieło, poświęciłem mu dziesięć lat życia. Muszę zrobić wszystko, żeby je zabezpieczyć.

Drodzy państwo, teraz pojawia się pasek „audycja zawiera lokowanie produktu”, następuje przerwa na reklamę. Jeśli chcecie mi pomóc, to – poza modlitwą – możecie to zrobić, wspierając Puckie Hospicjum pw. św. Ojca Pio poprzez wrzucenie pieniędzy do puszek przed kościołem albo przekazanie jednego procenta podatku.

Dziesięć lat mojej pracy w Pucku to właściwie hospicjum. Boję się, że kiedy zabraknie mi sił i możliwości mówienia kazań, to ono będzie zagrożone. Gdybym mógł was jeszcze prosić o jedno... Na przykład, gdybyście na waszych kontach pod koniec miesiąca mogli zrobić zlecenie stałe na przekazywanie choćby dziesięciu złotych na rzecz hospicjum, nie poczulibyście tego w portfelu. Jeśli zleceń będzie kilka czy kilkanaście, to będziemy wiedzieć, że jesteście z nami. Obiecuję, że będę się za was modlił. I jeżeli czegokolwiek będziecie ode mnie potrzebować: czy modlitwy, czy wsparcia, czy dobrego słowa, to jestem dla was dostępny. Zostawiam wszystkie zamiary na mnie.

Nie użalajcie się nade mną, że taki młody i taki biedny. Nie jestem aż taki biedny, w jakimś sensie jestem szczęśliwy, że ta choroba przyszła, bo ona mnie wyzwoliła z lęku. Miałem mnóstwo kompleksów, bałem się rzeczy

głupich, irracjonalnych, byłem pyszny. Ona mnie z tego wyleczyła. Bałem się, że kuria mnie przeniesie z Pucka gdzie indziej. No i co z tego? Wszędzie są dusze nieśmiertelne. A ostatecznie rak mnie przeniesie w zaświaty. Już się niczego nie boję. Biskupa i przełożonych wcale nie trzeba się bać, podobnie jak krytyki, jakichś ataków. Jestem wolny. Dziękuję ci, mój raku, że wyzwoliłeś mnie z wielu strachów.

Wy też się nie bójcie. Życie jest tak nieprzewidywalne! Za chwilę może się zdarzyć coś, co natychmiast rozwiąże wasze problemy.

Trzeba się przygotować do śmierci. Byle godnie i byle sprawnie. Błagam, módlcie się o to, żebym się gdzieś nie zhańbił i żebym żył przyzwoicie, czego i wam życzę. Pomagajmy sobie na każdym kroku. Amen.

2.

Czasem trudno zrozumieć tę bliskość

Nie czekaj na cierpienie,
które ci uporządkuje życie.

Kochani!

W pierwszym czytaniu słyszeliśmy dziś o sprawiedliwości, która będzie krzyczeć do Boga. Zatem ja dzisiaj krzyczę, ponieważ kilka dni temu do hospicjum, którego jestem szefem, przywieziono w stanie prawie agonalnym 36-letnią matkę dwojga młodych ludzi. Czy to jest sprawiedliwe? Na pewno nie. Czasem mam ochotę wrzeszczeć: Boże, gdzie jest Twoja sprawiedliwość? Staralem się żyć uczciwie, a tu taki guz, który wrasta w mój mózg i go powoli zżera. Żeby się go na stałe pozbyć, należałoby usunąć cały mózg. To byłoby raczej mało komfortowe.

Boże, dlaczego jesteś taki niesprawiedliwy? Czasami ludzie pytają mnie: „Dlaczego Pan Bóg zesłał na księdza takie cierpienie?”. Tak nie wolno myśleć. Bóg nie jest paskudnym dziadem siedzącym na chmurze, który nas nie lubi, więc rozdaje cierpienia i rozmaite przeciwności. On nas kocha w chwili naszego powodzenia, ale szczególnie blisko jest w momencie nieszczęścia. Nie opuszcza swoich dzieci. Fakt – czasem trudno zrozumieć tę bliskość.

Kiedy spada na nas jakieś niezasłużone cierpienie i wydaje się nam, że Pan Bóg nas zostawił, mimo szalejących emocji należy zrobić matematyczne założenie, że On z nami jest i kocha nas bardzo odpowiedzialną miłością. Bez względu na to, czy nam się życie wali czy nie. Bóg jest stały, niezmienny, wierny. To my bywamy niewierni. Rozumowo to założenie jesteśmy w stanie przyjąć, emocjonalnie trudniej. Ale musimy to sobie powtarzać, bo inaczej przestaniemy Mu ufać i zwariujemy.

Skąd się biorą choroby? Są wynikiem biologii i przypadku. Wypadki są wynikiem przypadku – ktoś za szybko jechał, znalazł się w nieodpowiednim miejscu i czasie. Niektóre zdarzenia są wynikiem naszej wolnej woli. Pan Bóg nam jej nie może zabrać. Chcieliśmy się oparzyć, to się oparzyliśmy. Chcieliśmy popełnić błąd, to go popełniliśmy i ponosimy tego konsekwencje. Paliliśmy fajki, mieszkaliśmy w domu z azbestem, no to mamy raka. Pytanie, dlaczego Pan Bóg nie interweniował, byłoby głupie, bo to On stworzył biologię z jej prawami. Gdyby codziennie ingerował w te prawa, także te związane z powstawaniem nowotworów, które czasem organizm zaczyna traktować przez pomyłkę jak najlepszych gości, to zachowywałby się nielogicznie.

Dlaczego Bóg nie przedstawia tych naszych przypadków? Po pierwsze, żeby nas nie pozbawić wolnej woli, a po drugie dlatego, że On ma zupełnie inne spojrzenie. My widzimy wszystko w zamkniętym, krótkim odcinku

naszego życia, maksymalnie dziewięćdziesięciu lat, może stu, a On jest ponad tym pudełkiem czasu. Czasoprzestrzeń się rozszerza, a Bóg jest ponad tym. Widzi wszystko – od Wielkiego Wybuchu albo innego początku świata, aż po sam jego koniec z powtórным przyjściem Chrystusa. Dla Niego to wszystko, co się dzieje, jest bardzo logiczne. Kiedy się przecisniemy na tamtą stronę (a to przeciskanie się nazywamy śmiercią), prawdopodobnie będziemy widzieli wszystko z Bożej perspektywy.

Bardzo lubię porównanie śmierci do narodzin. Dziecko przeciska się i boi, kiedy się rodzi. Ten wrzask po porodzie wcale nie jest radosny, tylko pełen przerażenia, bo znało brzuch matki i nagle to przyjazne środowisko zaczęło go wypychać w zimną, nieznaną przestrzeń. Ale gdy się człowiek przywita z tym światem, już nie chce wracać do brzucha matki. Być może podobnie jest ze śmiercią. Pewnie sam proces odchodzenia jest nieprzyjemny, ale później mamy przerastającą nasze wyobrażenia rzeczywistość. Taką, która nas przekracza – wspaniałą, kiedy jesteśmy zbawieni; pełną tęsknoty, kiedy oczekujemy w czyśćcu, i pełną przerażenia oraz nienawiści, kiedy jesteśmy potępieni. Mam nadzieję, że piekło nie jest wybrukowane głowami księży i zakonnic, jak mówi popularne przysłowie...

Wiecie, nowotwór pomógł mi uporządkować swoje życie – wyzwolił mnie z lęku, z kompleksów. Już nikt mi nic nie może zrobić. Jestem zupełnie wolnym człowiekiem.

Nie życząc wam żadnego nieszczęścia, namawiam was do tego, żebyście nie tkwili w sytuacjach, które was mocno męczą.

Opowiem wam o moim znajomym, którego nie za bardzo lubię. Jest nim przyjaciel mojego ojca z liceum. Całe życie musiałem do niego mówić „wujku”. Był sknerą i żył nie po katolicku. Zawsze mnie poniżał. Nawet nie odwiedził w chorobie, kiedy był blisko. To wszystko mnie bardzo bolało. Zdobyłem się na odwagę, wziąłem głęboki oddech i powiedziałem, że nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Nie po to, żeby mu robić przykrość, ale żeby sobie uporządkować relację. Zrobiłem porządek też z innymi: z niektórymi ludźmi mam stały kontakt, z innymi ograniczony, a z jeszcze innymi nie kontaktuję się w ogóle. Jest prawdą, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie.

Gdybyście, kochani, przez lata tkwili w jakichś krzywych sytuacjach, toksycznych związkach – mąż pijak awanturuje się i co wieczór cię bije, a ty jesteś współzależniona i boisz się zrobić ruch, choć dzieci są już dawno odchowane, nie bój się być odważna i wyrzucić męża pijaka z domu. To jest

obowiązek moralny chronienia własnego życia. Małżeństwo jest ogromną wartością, przysięga także, ale nie wtedy, kiedy staje się zagrożeniem psychicznym lub fizycznym dla nas lub naszych dzieci.

Nie trzeba od razu z takiej wysokiej półki... Jeżeli ktoś tkwi w przyjacielskim, toksycznym związku, czuje się wykorzystany, to trzeba tę relację albo naprawić, albo zerwać. Jeśli w pracy zmuszają cię do nieuczciwości, do brania łapówek, jeśli tkwisz w jakiejś obiektywnie złej sytuacji, to nie czekaj na cierpienie, które ci uporządkuje życie, na to, że ci ukradną samochód albo złamiesz nogę i będziesz miał dwa tygodnie na przemyślenie w szpitalu. Dokonaj zmiany swojego życia dzisiaj. Obiecuję, to ci bardzo pomoże. Amen.

PS

Po wielu miesiącach sytuacja uległa zmianie w wyniku wyrzutów sumienia.

Powyższe kazanie wygłosiłem w okresie bardzo emocjonalnym. Wtedy takie postępowanie wydawało mi się uzasadnione. Nie dojrzałem jeszcze do wiedzy, że ciężka i nieuleczalna choroba nie daje nam jakichś wyjątkowych praw. Zwłaszcza do moralnej oceny innych. Nie pozwala nam ich ranić, nie zwalnia z powinności etycznych, choćby bycia przyzwoitymi.

Ostatecznie, przez długie miesiące mierząc się z sytuacją, postanowiłem wuja przeprosić, przebaczyłem i poprosiłem o przebaczenie.

3.

Trzeba umieć przegrać

Jeśli chcemy być synami światłości,
to musimy patrzeć na wewnątrz,
pilnować wewnętrznej
harmonii.

Ewangelia według św. Łukasza 16, 1-13

Mówił również do uczniów: „Był pewien bogaty człowiek. Miał rządcę, którego oskarżono przed nim, że trwoni jego dobra. Wezwał go zatem i rzekł mu: »Cóż to słyszę o tobie? Rozlicz się ze swojego zarządu, bo już nie będziesz mógł być rządcą«. Rządca zaczął się zastanawiać: »Co mam zrobić, skoro mój pan odbiera mi zarząd? Do kopania ziemi nie mam sił, zebrać się wstydzę. A!!! Już wiem, co zrobić, żeby po odsunięciu mnie od zarządu przyjęto mnie do swoich domów«. I zaczął pojedynczo przywoływać każdego z dłużników swojego pana. Pytał pierwszego: »Ile jesteś winien mojemu panu?« On odpowiedział: »Sto baryłek oliwy«. Rzekł mu: »Weź swój rachunek, siadaj tu zaraz i napisz: pięćdziesiąt«. Potem drugiego zapytał: »A ty ile jesteś winien?« On odpowiedział: »Sto korców pszenicy«. Rzekł mu: »Weź swój rachunek i napisz: osiemdziesiąt«. Pan pochwalił tego nieuczciwego rządcę, bo przezornie postąpił. Synowie bowiem tego świata roztropniejsi są w stosunku do siebie podobnych niż synowie światła. I ja wam mówię: zdobywajcie sobie przyjaciół mamoną niesprawiedliwości, aby gdy już się ona skończy, przyjęto was do namiotów wieczności. Wierny w najdrobniejszym i w wielkim jest wierny, a w najdrobniejszym nieuczciwy i w wielkim jest nieuczciwy. Jeżeli zatem nie okażecie się wierni w związanej z nieuczciwością mamonie, kto wam powierzy to, co związane jest z prawdą? Jeżeli z cudzym nie okażecie się wierni, kto wam da wasze? Żaden sługa nie może służyć dwom panom, bo jednym gardzić będzie, a drugiego lubić; o jednego dbał będzie, a drugiego zlekceważy. Nie możecie służyć Bogu i mamonie”.

[POWRÓT](#)

Kochani!

W dzisiejszym psalmie uderzyły mnie słowa: „Pójdziemy do domu Pana. Już stoją nasze stopy w bramach twoich, Jeruzalem”. Pomyślałem: gdyby każdemu z nas powiedziano, że umrze w środę po południu, i to niezależnie od tego, czy jest chory czy zdrowy, to nie byłby ucieszony bliską perspektywą odejścia. Jak to w sobie przepracować? Jak nie poddać się rozpacz, kiedy dowiemy się o coś potwornym, co dzieje się na przykład w naszym ciele? To jest pytanie, które sobie – uwierzcie mi! – niemal codziennie stawiam: Jak pogodzić się z przychodzącymi w ciężkiej chorobie informacjami – czasem dobrymi, czasem złymi? Jak nie dać się zepchnąć w otchłań rozpacz? Jak nie zgorzknieć? I nagle czytam niezwykle fragment Ewangelii o nieuczciwym rządcy, którego pan pochwalił. Powiedział mu: dobrze kombinujesz.

Często bardziej dbamy o układanie stosunków z ludźmi niż o relacje z Panem Bogiem. Proszę zauważyć – Ewangelię i w ogóle Pismo Święte trzeba czytać bardzo dokładnie, zwracać uwagę na to, co łatwo umyka.

Pewien bogaty człowiek miał rządcę, którego oskarżono o to, że trwoni majątek. Tylko oskarżono, Ewangelia nie mówi, że to była prawda. Ale ten, przed którym go oskarżono, czyli bogacz, uwierzył w te zarzuty. „Co ja słyszę? Nie ufam tobie, zwalniam cię”. Miał do tego prawo, jak każdy zarządzający firmą, majątkiem.

Zwalniany nie mówi, że to nieprawda, że go fałszywie oskarżono, ale próbuje sobie z tą sytuacją poradzić. Robi to w sposób haniebny, bo zmusza innych do zła, do fałszowania rzeczywistości. Kiedy się o tym dowiaduje jego pan, czyli ten, który go zwolnił, chwali nieuczciwego rządcę, że roztropnie postąpił. I teraz Chrystus mówi: „Bo synowie tego świata roztrośniejsi są w stosunkach z ludźmi podobnymi sobie [czyli nie zawsze uczciwymi] niż synowie światła”.

Mógłbym spekulować: może ten bogacz zobaczył, że rządcą umie zadbać o swoje interesy, i go przywrócił; może to była tylko „podpucha”, może chodziło o sprawdzenie go. Tego nie wiemy, możemy się jedynie domyślać. Chrystus na tę sytuację zaczerpniętą z życia, która i nam nie jest obca, bo nie raz i nie dwa dostawaliśmy od losu, od innych ludzi po kościach, każe spojrzeć w innym świetle, zastanowić się nad naszą postawą etyczną. Jeśli chcemy być synami światłości, jeżeli chcemy być przygotowani na przekroczenie progu Jeruzalem, to musimy patrzeć na wewnątrz, pilnować wewnętrznej harmonii, pamiętać, że warto przegrać zewnątrz, ale wygrać

moralnie, choćby nikt o tym nie wiedział. Tak naprawdę to daje na co dzień siłę.

Panie Jezu, dopomóż nam, byśmy umieli ziemską roztropność odróżnić od roztropności Bożej, która daje życie wieczne. Amen.

4.

Warto się namęczyć

Ta oliwa z Ewangelii to światło w nas,
które jest łaską uświęcającą. Jeżeli ktoś zapuka
do niebios bez łaski uświęcającej, to może usłyszeć:
nie znam cię, bo nie świecisz.

Ewangelia według św. Mateusza 25, 1-13

Wtedy podobne będzie królestwo niebieskie do dziesięciu panien, które wzięły swoje lampy i wyszły na spotkanie pana młodego. Pięć z nich było nierozsądnych, a pięć roztropnych. Nierozsądne wzięły lampy, ale nie wzięły z sobą oliwy. Roztropne zaś razem z lampami zabrały również oliwę w naczyniach.

Gdy się pan młody opóźniał, zmorzone snem wszystkie zasnęły. Lecz o północy rozległo się wołanie: „Pan młody idzie, wyjdźcie mu na spotkanie!” Wtedy powstały wszystkie owe panny i opatrzyły swe lampy. A nierozsądne rzekły do roztropnych: „Użycie nam swej oliwy, bo nasze lampy gasną”. Odpowiedziały roztropne: „Mogłoby i nam, i wam nie wystarczyć. Idźcie raczej do sprzedających i kupcie sobie!”

Gdy one szły kupić, nadszedł pan młody. Te, które były gotowe, weszły z nim na ucztę weselną, i drzwi zamknięto. W końcu nadchodzą i pozostałe panny, prosząc: „Panie, panie, otwórz nam!” Lecz on odpowiedział: „Zaprawdę, powiadam wam, nie znam was”. Czuwajcie więc, bo nie znacie dnia ani godziny.

Kochani!

Można by się znęcać nad nierozsądnymi pannami z Ewangelii. W Wulgacie były nazwane głupimi. Współczesny przekład Biblii jest jednak łagodniejszy. Zmiana chyba jest uprawniona, ponieważ chodziło o roztropność, o przewidywanie rzeczy przyszłych. Proszę zwrócić uwagę, że wszystkie panny – roztropne i nieroztropne – podlegały tym samym prawom. Wszystkie miały chęci, wszystkie się obudziły. Nie można mówić, że się leniły, bo troszczyły się o swoje lampy, czyli dochowały staranności, by oblubieńca, czyli Chrystusa, przyjąć, by – mówiąc górnolotnie – wejść do królestwa niebieskiego. Ale wejście tam wymaga pewnej przebiegłości (tej w pozytywnym sensie), zaradności.

Można by się znęcać nad tymi kobietami i można by też ten fragment interpretować w kontekście przygotowania na odejście. Ale cały czas gadamy o śmierci. Już mam tego dosyć.

Że należy żyć cały czas w łasce uświęcającej, to jest oczywiste. Ta oliwa z Ewangelii, to światło w nas, które jest łaską uświęcającą. Jeżeli ktoś zapuka do niebios bez łaski uświęcającej, to może usłyszeć: nie znam cię, bo nie świecisz, nie byłeś w chwili śmierci w stanie łaski.

Nierozsądne panny nie przewidziały, że może im zabraknąć łaski. Nie będę się pastwił nad państwem, opowiadając o śmierci, ale przypomnę: jedynym celem naszego życia jest zbawienie. Wszystkie środki mają służyć temu celowi, nawet zarabianie forsy. A może szczególnie to zarabianie, żeby nie być chciwym, żyć godnie, wygodnie, ale się dzielić. Zarabianie forsy, robienie kariery ma nam nie przeszkodzić, ale pomóc w osiągnięciu tego najważniejszego celu, jakim jest zbawienie. Żebyśmy w momencie śmierci płonęli wewnętrznym światłem, musimy nagromadzić w sobie dużo oliwy, czyli łaski. Powiecie, że nudzę. To prawda. Ale chodzi o to, by nigdy nie dopuścić do takiego stanu, kiedy przez długi czas, z własnej winy jest się bez łaski uświęcającej. By wtedy, kiedy oblubieniec zapuka i powie: chodź!, być przygotowanym, mieć przy sobie niekoniecznie wybitnie mistycznego, ale ważnie wyświęconego kapłana, który w godzinie śmierci powie: „władzą otrzymaną od Stolicy Apostolskiej udzielam ci odpustu zupełnego i przebaczenia twoich grzechów”. Wtedy to już tylko z kopytami do nieba. Nie kończę tej formuły, żeby was nie rozgrzeszać.

Chciałbym zwrócić uwagę na fragment pierwszego czytania, który mnie poruszył. Jest w nim mowa o mądrości. Różne są jej rodzaje – jest tak zwana scientia i sapientia. Scientia to wiedza naukowa. Można być mądrym,

wykształconym, ale nie mieć sapientii, czyli połączenia wiedzy rzetelnej, uczciwej i życiowego doświadczenia, pewnej intuicji, inteligencji interpersonalnej. One są potrzebne przy współpracy z łaską, przy rozwijaniu naszych cnót i darów Ducha Świętego, zwłaszcza mądrości, rozumu, rady, umiejętności. Wyliczyłem cztery z tych darów, ale może wymieńmy resztę: dar męstwa, bojaźni Bożej i pobożności.

Oczywiście, inwestujemy w siebie w sensie scientii, czyli uczymy się, wymagamy od swoich dzieci, wnuków, ale nie zaniedbujemy także innych wymiarów mądrości, Bożej mądrości, doświadczenia życiowego. Proszę zwrócić uwagę, że nie wszyscy starsi ludzie są mądrzy tą sapientią. Można być leciwym matolem, przepraszam, można – spotykamy leciwych matolew.

Trzeba stale współpracować z łaską Bożą, dolewać oliwę do swojej lampy, rozwijać cnoty – one są przeciwieństwem wad, grzechów głównych, których jestem siedliskiem.

Co jest wrogiem sapientii? Lenistwo. Przede wszystkim lenistwo duchowe, które czasem nazywa się acedią. Występuje wtedy, gdy jesteśmy dość blisko z Panem Bogiem, ale przestaje nam się chcieć, zaczynamy tracić siłę, napęd, ochotę. Bo już prawie osiągnęliśmy upragniony cel, przeciwnik trochę nam przeszkadza albo nie dokładamy starań, by wszystko dopiąć na ostatni guzik. Zatem zawsze trzeba od siebie wymagać i nigdy nie wolno się z tych duchowych obowiązków zwalniać, zwłaszcza gdy jesteśmy w podeszłym wieku, zwłaszcza kiedy mamy trudne życie. To nas nie zwalnia.

Nie wiem, czy zwróciliście uwagę na te słowa z czytania: „Kto dla niej wstanie o świcie, ten się nie natrudzi, znajdzie ją [sapientię] bowiem siedzącą u drzwi swoich”. Dla Boga, drugiego człowieka i tej sapientii warto się namęczyć. To wczesne wstawanie niech będzie po prostu synonimem wysiłku. Amen.

5.

Programowanie trwania w łasce

Musimy być bardzo uważni,
czuli na punkcie łaski.

Ewangelia według św. Łukasza 16, 1-13.

Jej tekst znajduje się [TUTAJ](#)

Kochani!

Kilka dni temu czytaliśmy przypowieść o nieuczciwym rządcy, który został wyrzucony z pracy. Kopać nie umiał, żebrać się wstydził i sfalszował zobowiązania swojego pana. Jednemu dłużnikowi, zamiast stu beczek oliwy, kazał zapisać osiemdziesiąt. To było fałszerstwo. Nieuczciwy rządcą został pochwalony przez swojego pana, „bo synowie tego świata są wśród podobnych sobie bardziej roztropni niż synowie światłości”.

Mówimy homo sapiens, człowiek myślący, niektórzy mówią ledwo sapiens – to można dwojako rozpatrywać: ledwo sapiens, bo ledwie sapiący, albo ledwo myślący. Homo sapiens – człowiek przewidujący, tworzący scenariusze, myślący abstrakcyjnie. Tym abstrakcyjnym myśleniem, także religijnym, które nie może być oderwane od życia na ziemi, jest przewidywanie przyszłości, programowanie trwania w łasce. Czego muszę unikać, jakie cnoty rozwijać, jakie wady zwalczyć. Diagnoza. Gnosis to po grecku „wiedza”, dia to „aby”. A więc diagnozuję wady, robię kontrapunkt, szukam cnót, które pomogą mi te wady zniszczyć, i bardzo rozsądnie idę przez życie, trzymając się wyznaczonej drogi.

Musimy prosić Pana Boga o zdrowie i życie, choćby dlatego, że dzisiaj nam to poleca ta modlitwa, którą zaśpiewamy: „Wszechmogący, miłosierny Boże, oddal od nas łaskawie wszelkie przeciwności, abyśmy wolni od wszelkich niebezpieczeństw tak duszy, jak i ciała [ciało też jest ważne, bo bez niego nie ma duszy, jeżeli ono będzie zepsute, to dusza też będzie marna] swobodnie mogli pełnić Twoją służbę”. Czyli byśmy swobodnie do tych naczyń zbierali łaskę, oliwę.

Proszę zwrócić uwagę, że wszystkie panny niosły oliwę w naczyniach. W innym fragmencie Pisma Świętego jest napisane, że przechowujemy łaskę w naczyniach glinianych, które mogą się stłuc. Zatem musimy być bardzo uważni, czuli na punkcie łaski. Dlatego proszę o uważne stąpanie w życiu, o umiejętność przewidywania i roz – trop – ność, czyli chodzenie po dobrych tropach, o wewnętrzne świecenie w drodze do finału. Życzę tego zarówno wam, jak i sobie. Amen.

6.

Nie łammy sobie sumień

Strzeżmy się małych i wielkich szwindli, one się nie opłacają.

Mamy czasem pokusę, by pójść na kompromis moralny
w drobnej sprawie. Jak będziemy wielcy w małych sprawach,
to nad wieloma nas postawią.

Kochani!

Kiedy będą mówić: „pokój i bezpieczeństwo”, to przyjdzie ktoś w rodzaju Putina. Tak przecież było też sto lat temu, kiedy wszyscy myśleli, że porządek po traktacie wersalskim będzie nie do ruszenia. Najpierw jakiś kompletnie idiotyczny zamach w Sarajewie, jedna z najbardziej dumnych wojen (każda jest durna) – pierwsza wojna światowa, a potem właściwie jej dogrywka, czyli druga wojna światowa. Myślano, że będzie pokój i bezpieczeństwo, a pojawił się kryzys lat trzydziestych.

Teraz nam się wydaje, że pokój, bezpieczeństwo i demokracja są nam dane na zawsze, a pojawia się Putin. Korzystajmy z daru wolności, póki go mamy. To jest oczywiście zachęta do pójścia na wybory samorządowe, ale na tym się dzisiaj tematy wyborcze skończą. Kto na wybory nie idzie, ten grzeszy. Tak uważam. Bo zrzeka się odpowiedzialności za państwo – to w wymiarze najbliższym. Dlatego bardzo was proszę – w imię odpowiedzialności za siebie i za to, co nam zostało dane w tej chyba jedynej reformie, która się naprawdę udała, samorządowej – zagłosujmy. A teraz przejdźmy do talentów z Ewangelii.

Znamy tę Ewangelię na pamięć. Co we mnie budzi poruszenie, kiedy dziś ją czytam? Że każdy otrzymał talenty wedle swoich zdolności. To jest odwrócenie sytuacji komunistycznej, kiedy wszyscy mieli mieć po równo. Sprawiedliwie nie znaczy po równo. Klasyczna definicja sprawiedliwości brzmi: oddać każdemu wedle tego, co mu się słusznie należy. Słusznie, czyli wedle zdolności, zaangażowania, pracy i wielu innych czynników.

Na co chciałem dzisiaj zwrócić uwagę? Na transparentność finansów. Powiem o tym na przykładzie naszego hospicjum, bo koszula najbliższa ciału. Tutaj wszystko musi być transparentne. Pieniądze, które ja czy inny ksiądz dostajemy do kieszeni jako ofiarę po mszy, są dla każdego z nas. A te, choćby najmniejsze, które państwo wrzucają do koszyka, są w całości przeznaczone na utrzymanie kaplicy i hospicjum.

W dłuższej wersji Ewangelii pan po powrocie mówi: „Dobrze, sługo dobry i wierny! Byłeś wierny w rzeczach niewielu, nad wieloma cię postawię”. I mówi to zarówno do tego, który zyskał pięć talentów, jak i do tego, który zyskał dwa (może był mniej zdolny). Ktoś by mógł powiedzieć: przecież ten, który nic nie zyskał, oddał panu równowartość tego, co od niego otrzymał. Ale to nieprawda. Zwłaszcza że ten, który nie pomnożył talentów, mówi: „Panie, wiedziałem, żeś jest człowiek twardy: chcesz żąć tam, gdzie nie posiałeś, i zbierać tam, gdzieś nie rozsypałeś”. Na co ten mu odpowiada:

„Sługo zły i gnuśny! Wiedziałeś, że chcę żać tam, gdzie nie posiałem, i zbierać tam, gdzie nie rozsypałem. Powinieneś więc być oddać moje pieniądze bankierom, a ja po powrocie byłbym z zyskiem odebrałem swoją własność”.

Skoro ktoś nam powierza jakieś dobro, to ma prawo się spodziewać, że go nie zmarnujemy i nie roztrwonimy, ale nawet pomnożymy. Stąd mój apel do was: skoro mnie zabraknie za jakiś czas, to już dziś bardzo was proszę, nakładam na was obowiązek moralny, powinność, żebyście hospicjum w Pucku nie rozmięli na drobne, żeby każdy z was pilnował, by nie zostało rozkradzione, by nie doszło do korupcji (choć szansa na wielką korupcję nie ma, nikt nie weźmie z konta pięćdziesięciu tysięcy złotych, bo ich po prostu nie ma). Chodzi mi o to, by nie zaczęły się tu dziać rzeczy niedopuszczalne, takie jak na przykład nepotyzm, zatrudnianie kuzynów czy kuzynek. Pilnujcie, żeby to hospicjum było zawsze transparentne. Jak długo tu będę szefem, przysięgam, będę robił wszystko, by takie było, żeby każda złotówka się zgadzała.

Wracając do sytuacji z Ewangelii – rozpatrzmy kwestię etyczności zysków z lokat bankowych czy pomnażania pieniędzy przez ludzi bardzo bogatych. Oni inwestują i otrzymują zasłużone zyski – mają do tego święte prawo, zapracowali na to. Kto nie jest pracowity i zapobiegliwy, ten grzeszy. Lenistwo, niezaradność, wieczne trwanie w marazmie, wyuczona bezradność trwająca przez pokolenia, to socjalistyczne i komunistyczne czekanie, aż ktoś nam coś da, jest grzechem.

Można być osobą niewykształconą, ale zaradną. Można też roztrwonić swoje życie, zmarnować je, nawet jak się ma duży majątek. Czasem wielcy biznesmeni są posądzeni o wielką nieuczciwość. To jest paskudna polska przypadłość, to insynuowanie. Przenikliwy ks. Tischner, który wyprzedzał swoją epokę o trzy długości, pewnie by powiedział, że to mentalność homo sovieticus, człowieka postsowieckiego. Ktoś taki podejrzewa, że ten, komu się udało, na pewno pierwszy milion musiał ukraść. Jeżeli się niczego takiego nie udowodniło, to należy uznawać człowieka za uczciwego. To jest podstawowa zasada prawa rzymskiego, domniemanie niewinności.

Czy myślicie, że moje hospicjum utrzymałoby się bez dwóch hojnych donatorów, którzy w każdym półroczu przynoszą dla niego swoje pieniądze? Mieliby moralne prawo wykorzystać je na to, co by tylko chcieli – kupić sobie piąty jacht – i to nie byłby grzech. Mieliby prawo zainwestować te pieniądze zarobione przez swoje firmy, kancelarie prawne, obracać nimi, tworzyć nowe miejsca pracy – samo to byłoby dobre. Ale oni je przynoszą

tutaj, żeby nasi chorzy mieli godziwe warunki. Chwała im, bo bogaci wcale nie mają obowiązku się dzielić.

Znam takiego bogatego gościa, który na byle co nie da. To jest logiczne – ciężko pracował na te pieniądze. Czy ma pomagać nieudacznikom, którzy się do niego zgłaszają tylko dlatego, że są nieudacznikami?

Dzięki temu człowiekowi, który ma wielkie serce, mogę się leczyć, choćby w Szwajcarii. Mnie by nie było stać na taki luksus, bo to jest luksus. Ale może też przykład tego, że dobro wraca? Raz ty komuś pomożesz, innym razem ktoś tobie. W każdym razie ten wielki człowiek, bo on dla mnie w sensie moralnym jest kimś wielkim, powiedział mi tak: „Jan, dać ci pieniądze to nie jest dla mnie żaden problem. Ja ci dam też mój czas”. I wyszukał mi klinikę, prowadzi dialog e-mailowy po angielsku z tymi wszystkimi, którzy mnie tam leczą. Mówi: ten wysiłek to tak naprawdę jest koszt, który ponoszę, a nie pieniądze.

Jego zaangażowanie, to, że tam ze mną jeździ, tłumaczy mi różne rzeczy z angielskiego i niemieckiego, mimo że jest potwornie zmęczony pomiędzy wizytą w USA i na Cyprze, że znajduje czas, by do mnie dolecieć, być ze mną na najważniejszych spotkaniach, że jest uważny na drugiego człowieka, to jest jego ogromna zasługa.

Proszę zwrócić uwagę na to, że ten, który pozyskał pięć talentów nadprogramowo, mógł mieć pokusę, żeby zysk pomniejszyć i część schować dla siebie, po prostu ukraść. Nie miał do tego prawa, bo te pieniądze nie były jego pieniędzmi. On je puścił w obieg i oddał właścicielowi. Stąd ten zawód pana tym, który nie okazał się przedsiębiorczy: czy nie powinieneś tych pieniędzy oddać bankierom, nawet się nie angażując specjalnie, ale oddać fachowcom, żeby je pomnożyli, a ja po powrocie odebrałbym swój majątek? Ten, który zakopał talent, tego nie zrobił. Inni pomnożyli pięć czy dwa, i nic z tego nie ukradli. Pani sprzątająca, przyłapana na wynoszeniu płynu do dezynfekcji, obruszyła się: „Przecież zaoszczędziłam”...

W tym miejscu błagam i przestrzegam: strzeżmy się małych i wielkich szwindli, one się nie oplacają. Mamy czasem pokusę, by pójść na kompromis moralny w drobnej sprawie. Jak będziemy wielcy w małych sprawach, to nad wieloma nas postawią. Oliwa sprawiedliwa zawsze na wierzch wypływa. Warto przegrać na krótką metę, ale wygrać moralnie.

Ewangelia nam nie dopowiedziała, czy ten, który pozyskał pięć talentów, nie został – mówiąc współczesnym językiem – menedżerem w firmie tego, który powierzył mu majątek, a ten, który pozyskał dwa talenty,

adekwatnie do swego zaangażowania, menedżerem niższego szczebla. I czy trzeci z nich stracił robotę. Właściwie gdybyśmy się uparli, by popatrzeć na niego łaskawiej, niczego nie zaniedbał. Ale nie udowodnił właścicielowi swej kreatywności, a powinien. Zatem bądźmy kreatywni, nie łammy sobie sumień, na przykład po to, by zyskać stówkę, dwie. Nie warto robić ani małych, ani dużych przekrętów. Po prostu warto być uczciwym. Amen.

7.

Jesteśmy biologią, jakoś się musimy zepsuć

Walczcie o siebie, nie dajcie się wdeptać kryzysom
beznadziejności, chwilowej ciemności, walczcie o czyste
sumienie i nigdy nie myślcie, że Bóg jest przeciwko wam.

Ewangelia według św. Mateusza 25, 31-46

Gdy Syn Człowieczy przyjdzie w swej chwale i wszyscy aniołowie z Nim, wtedy zasiądzie na swoim tronie pełnym chwały. I zgromadzą się przed Nim wszystkie narody, a On oddzieli jednych od drugich, jak pasterz oddziela owce od kozłów. Owce postawi po prawej, a kozły po swojej lewej stronie. Wtedy odezwie się Król do tych po prawej stronie: „Pójdźcie, błogosławieni Ojca mojego, weźcie w posiadanie królestwo, przygotowane wam od założenia świata! Bo byłem głodny, a daliście Mi jeść; byłem spragniony, a daliście Mi pić; byłem przybyszem, a przyjęliście Mnie; byłem nagi, a przyodzialiście Mnie; byłem chory, a odwiedziliście Mnie; byłem w więzieniu, a przyszliście do Mnie”. Wówczas zapytają sprawiedliwi: „Panie, kiedy widzieliśmy Cię głodnym i nakarmiliśmy Ciebie? spragnionym i daliśmy Ci pić? Kiedy widzieliśmy Cię przybyszem i przyjęliśmy Cię? lub nagim i przyodziliśmy Cię? Kiedy widzieliśmy Cię chorym lub w więzieniu i przyszliśmy do Ciebie?” A Król im odpowie: „Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili”. Wtedy odezwie się i do tych po lewej stronie: „Idźcie precz ode Mnie, przekłęci, w ogień wieczny, przygotowany diabłu i jego aniołom! Bo byłem głodny, a nie daliście Mi jeść; byłem spragniony, a nie daliście Mi pić; byłem przybyszem, a nie przyjęliście Mnie; byłem nagi, a nie przyodzialiście Mnie; byłem chory i w więzieniu, a nie odwiedziliście Mnie”. Wówczas zapytają i ci: „Panie, kiedy widzieliśmy Cię głodnym albo spragnionym, albo przybyszem, albo nagim, kiedy chorym albo w więzieniu, a nie usłużyliśmy Tobie?” Wtedy odpowie im: „Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, czego nie uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, tegoście i Mnie nie uczynili”. I pójdą ci na mękę wieczną, sprawiedliwi zaś do życia wiecznego.

[POWRÓT](#)

Drodzy państwo!

Dzisiejsze czytania mówią o pewnego rodzaju kryzysie. O tym, że przychodzi noc ciemna. Każdy z nas doświadczył sytuacji, która go przerosła, która – jak to się mówi w filozofii – była sytuacją graniczną. Wspaniały psalm, istotny dla naszych braci protestantów: „Chociażbym przechodził przez ciemną dolinę, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną”, jest pewną wskazówką, jak przejść każdy kryzys.

Państwo, zdaje się, wiedzą, że jestem szefem hospicjum. Założyłem je, cały czas nim, że tak powiem, dowodzę, a oprócz tego ciężko choruję. Nie chciałbym, żeby to się stało clou tego kazania. Nie wiem, czy zauważyliście taką prawidłowość, że kiedy przyjeżdża ksiądz skądkolwiek, prowadzący bardziej lub mniej sensowne dzieło miłosierdzia, to przeważnie jego kazanie streszcza się w trzech dość prymitywnych punktach: najpierw jest jakaś łzawa opowieść, żeby państwa wzruszyć (wszystko jedno, czy ktoś pracuje w hospicjum, na misjach czy prowadzi dom dziecka), potem odwołanie do państwa sumień (żeby nimi wstrząsnąć), a na końcu zawołany apel do waszych portfeli (czyli „dajcie forszę”). Nie chciałbym być prymitywny i posługiwać się tym obrzydliwym schematem, który mnie strasznie męczy. Z drugiej strony byłbym obłudny, gdybym powiedział, że nie przyjechałem tutaj po wsparcie dla hospicjum. Może więc umówmy się, że te dwa pierwsze punkty sobie odpuścimy, niestety tego trzeciego odpuścić nie będę mógł, ale w tej sprawie spotkamy się już przy wyjściu z kościoła. To kwestię finansów w tym dzisiejszym kazaniu mamy załatwioną, więc nie będę państwa męczył jakimiś łzawymi opowieściami. Moja matka wzdycha: „Boże, mój syn żebrakiem...”, a ja jej odpowiadam: „To prawda, mam, ale ekskluzywnym, bo żebrzę w kościele, a nie przed”.

Może spróbuję teraz poszukać odpowiedzi na pytanie: Jak radzić sobie z kryzysem, by nie skupić się tylko na nieszczęściu, które nas dosięgnęło? Kryzys nie ma wyłącznie twarzy choroby. Następuje wtedy, kiedy rozkłada się nam rodzina, kiedy dzieje się z nami coś niepokojącego, kiedy wpadamy w depresję. Zastanawiałem się, jaki możecie mieć problem, w jakim możecie być kryzysie, w czym – z moim doświadczeniem – mógłbym wam, emigrantom, pomóc. Zwróćcie mi uwagę, jeśli przestrelilem.

Wydaje mi się (bo nigdy nie byłem na emigracji), że problemem może być życie w dwóch światach. Bycie nie do końca kompatybilnym zarówno ze światem, do którego się przyjechało, jak i z polskim. To może być kwestia napiętych relacji, nie zawsze właściwie rozwiązanych kryzysów rodzinnych.

Komuś się mogła posypać rodzina. Istnieją w naszych czasach, i nie ma się co obrażać na rzeczywistość, tak zwane rodziny patchworkowe albo – jak mówią Francuzi – familles recomposées, czyli na nowo złożone, gdzie są dzieci z jednego, drugiego związku, trochę dzieci wspólnych... Nie oceniam, opisuję pewien problem. Mogą się też państwo zмагаć z jakąś straszną depresją, którą – jeśli jest depresją w sensie klinicznym – to jest jednostką chorobową i trzeba ją leczyć.

Nie mam innego doświadczenia poza swoim, więc tylko nim mogę wam służyć. Wydaje mi się, jestem prawie pewien, że z powołania jestem księdzem (choć tak naprawdę po śmierci okaże się, czy się fundamentalnie nie pomyliłem), a z wykształcenia bioetykiem, czyli gościem, który próbuje się naukowo zajmować sytuacjami granicznymi w obrębie życia ludzkiego – od narodzenia, a nawet jeszcze wcześniej, aż do śmierci. Wchodzą w to problemy klonowania, in vitro, ciągłości życia, obumarcia mózgu aż po kwestię terapii paliatywnej, w której siedzę zawodowo, bo jestem dyrektorem hospicjum (nie lubię słowa „dyrektor”, jakoś mi się źle kojarzy; wolę mówić, że jestem odpowiedzialny za hospicjum). W bioetyce porusza się tematy związane z chorobą nowotworową w stanie terminalnym, ze stykiem eutanazji i uprawnionego odstąpienia od terapii, sedacji paliatywnej i mnóstwa innych rzeczy, o których mogę wam poopowiadać, jeśli będzie czas.

Jak poradzić sobie z kryzysem, który na nas spada, kiedy się go najmniej spodziewamy? Jak nie dać się wdeptać w ziemię, w chorobę, depresję, kryzysie małżeńskim? Przede wszystkim należy założyć, że Bóg jest zawsze przy mnie, bez względu na to, co się dzieje. Że Pan Bóg mnie nigdy nie opuszcza. Nawet wtedy, gdybym chciał Go odrzucić. „Chociażbym przechodził przez ciemną dolinę, zła się nie ulęknę, bo ty jesteś ze mną”. Jak to rozumieć? Uświadomić sobie, że Chrystus jako Pan historii jest zawsze w moim czasie, wpisał moje życie w wielką historię zbawienia.

Bóg króluje nad czasem. Wszystko jest wprojektowane w moje krótkie życie, które ma w sposób naturalny i początek, i koniec. Uświadomienie sobie, że choroby są naturalną sprawą, która się nam, ludziom, przydarza, nie jest szczególnym wyczynem. Jesteśmy biologią, jakoś się musimy zepsuć.. Nie ma więc co tupać na biologię, a zatem i na Pana Boga.

Skąd się biorą nowotwory? Z mutacji komórki nowotworowej. Jak państwo wiedzą, komórki się namnażają, część z nich ginie. Czasem jest taka paskudna komórka działająca prawie jak perpetuum mobile – namnaża się w

postępie geometrycznym. To jest nowotwór, jakiś błąd w genotypie, a nie Pan Bóg mówiący: „Kaczkowski, wasza gęba mi się nie podoba, będziecie mieć nowotwór”. Albo: „Pani Malinowska, nie zmówiła pani pacierza – no to będzie przerzut, a pani córka zginie w wypadku samochodowym, bo mam dzisiaj zły humor”. Takiego Boga nie ma. Bóg chrześcijan, a osobliwie katolików, jest Bogiem dramatycznie bliskim. Wtargnął w biologię, to znaczy zbawił świat przez nią, stał się minimalną blastocystą, był embrionem w łonie Matki Najświętszej. Dla mnie, jako bioetyka, ciekawym pytaniem jest: jaki genom miał Chrystus? Na pewno pięćdziesiąt procent pochodziło od Matki Najświętszej. A drugie pięćdziesiąt? Od Ducha Świętego? Z tego, co pamiętam z seminarium, a nie byłem wybitnie pilnym studentem, to Duch Święty nie posiadał genotypu. Cała teologia by się nam wywaliła, gdyby posiadał. Na własny użytek wymyśliłem teorię, że może ten genom Chrystusa był genomem uniwersalnym, to znaczy, że pasował do genotypu każdego człowieka. Wolno mi tak myśleć, bo teologia jeszcze żadnego stanowiska dogmatycznego w kontekście genotypu Chrystusa nie zajęła. A to by znaczyło, że pani i ja jesteśmy niesamowicie ważni dla Boga. Jesteśmy bytami indywidualnymi, które Pan Bóg kocha bez jakiegoś prymitywnego love bombingu, jak w sekcie. Zostaliśmy stworzeni po coś. Został nam dany jakiś czas, bardzo krótki w kontekście historii kosmosu, ale mamy go porządnie i godnie przeżyć. Jeśli dopadnie państwa kryzys, to nie miejcie pretensji, błagam, do Pana Boga, tylko wyobraźcie sobie, że choćby przez sam fakt Wcielenia Bóg jest z wami.

My, jako katolicy bioetycy, nie mówimy, że embrion w stanie blastocysty, czyli dopiero co zapłodniony, złożony z kilku komórek, jest człowiekiem, mówimy natomiast, że posiada godność osoby, choćby przez to że ma zupełnie inny kod genetyczny od matki i ojca. I w tym kodzie można dokładnie wyczytać przyszłe cechy dorosłego osobnika. Gdyby pana uchwycić w stadium blastocysty, wyjąć jedną komórkę bez szkody dla pana organizmu i rozwalić kod genetyczny, tobyśmy dokładnie wiedzieli, jakiego pan będzie wzrostu, w jakim wieku straci pan włosy. To wszystko jest zapisane w naszym genotypie. Jesteśmy biologią. Chrystus też nią był.

Każdego dnia przynajmniej trzy razy mamy szansę zapaść na nowotwór. Na szczęście nasz system immunologiczny blokuje onkomutacje, blokuje niektóre onkogeny i przy podziale komórki kieruje je na boczny tor, gdzie są niszczone. Jest mitoza, replikacja kodu DNA, pamiętamy z biologii. Ale, niestety, system raz na całe życie się myli i zaczyna traktować komórkę

nowotworową jak najlepszego gościa. Komórka się patologicznie dzieli. To naprawdę nie Pan Bóg kazał jej to robić, tylko taka jest natura biologii. A że Bóg rzadko działa contra naturam, bo sam ustanowił pewne prawa, zatem do cudów ucieka się sporadycznie. Czasem to robi, żeby pokazać nam swoją obecność, władzę, żeby nami wstrząsnąć, kiedy nasza wiara słabnie. Ale nie możemy wiary czy nadziei budować na cudzie.

Zaraz po wojnie ludzie pytali, gdzie był Bóg w Auschwitz. W Auschwitz Bóg był w przykazaniu „Nie zabijaj!”, bo ono tam nie przestało obowiązywać. Czasem ktoś mnie pyta (oczywiście nie porównuję tych sytuacji): gdzie jest Bóg w księdza chorobie? Wtedy mówię, że jest ze mną. Nie mogę pozwolić rozpaczy odebrać sobie wiary, że On jest ze mną w chorobie. Stąd taka praktyczna rada: pamiętajcie, że jeśli z jakiegokolwiek powodu zawali się wam świat, jeżeli was wywalą z pracy i będzie to niesprawiedliwe (jeżeli was sprawiedliwie wywalą, to znaczy, że zawiniście), to Pan Bóg będzie w tej niesprawiedliwości. Popatrzcie, z jednej strony Wcielenie, a z drugiej prawdziwa obecność Chrystusa w komunii świętej. Te dwie rzeczy, które się zespolą, oznaczają, że On stał się ludzkim ciałem ze wszystkimi konsekwencjami. Umarł w ciełe, zbawił świat przez biologię. A my – jako ta biologia, która się psuje, poci i brzydko pachnie – mamy niezwykły przywilej przyjęcia Jego Ciała. Nie symbolicznego, nie duchowego, ale prawdziwego, realnego, substancjalnego. Nasi bracia protestanci też w to wierzą, tylko w samym momencie przyjęcia, a my wierzymy, że jest obecny na stałe. Jeżeli Bóg jest ze mną, jeżeli mogę Go przyjąć w sposób godny do siebie, jeżeli On się ze mną dramatycznie w moim ludzkim ciełe jednoczy, to co mi się może stać? Śmierć, chociaż jest nieprzyjemnym procesem, jest tylko jakąś granicą.

Droży państwo, nie przyjechałem tutaj straszyć was śmiercią, mówić: nawróćcie się natychmiast, otwórzcie portfele na hospicjum, to was zbawi. Śmierć jest tak samo naturalna jak życie. Wisława Szymborska pisała, że rodzimy się bez wprawy i umieramy bez rutyny. Skoro Pan Bóg jest przy nas, to jeśli zdarzy się ciężka, a czasem nieuleczalna choroba, to On nas przecież nie zostawi. Musimy cały czas o tym pamiętać, podobnie jak o tym, że jesteśmy wolni, że mamy prawo odstąpić od terapii uporczywej, że nikt nie ma prawa nas do niczego zmuszać ani oszukiwać nas w chorobie.

Gdybyście państwo ciężko zachorowali, to raczej chcielibyście wiedzieć, na co jesteście chorzy, by pokierować odpowiednio swoim życiem. Macie do tego głęboko ludzkie prawo. Przekazywanie prawdy nie jest sztuką

dla sztuki. Ono ma chronić godność człowieka. Jeżeli ciężko choremu nie powiemy, że jest ciężko chory, to on może stracić do nas zaufanie. A to się naprawdę często zdarza...

Pacjentka około czterdziestoletnia, mająca małe dzieci, chcąca żyć, świadoma nowotworu jelita grubego, śródoperacyjnie otworzona i zamknięta (bo okazało się, że jest gorzej, niż lekarze myśleli), pokładająca ogromną nadzieję w tej operacji. Jeżeli zabieg się uda, wszyscy skaczą i krzyczą: „Cudownie!”. Jeśli nie, to lekarz przeważnie chowa się za papiery i mówi: „Wie pani, usunęliśmy część masy patologicznej, wyślemy wycinki do badania histopatologicznego, poczekamy”. Rodzina wpada w przerażenie i decyduje: „Nie mówimy mamie, bo ona się załamie”. I zaczyna się powtarzanie: „będzie dobrze, będzie dobrze, będzie dobrze”... Pacjentka czuje się po operacji lepiej, brzuch się zróśł, wszyscy mówią, że będzie świetnie. Ona coś podejrzewa albo coś niepokojącego wyczytała w wypisie, ale chce wierzyć w wyzdrowienie. Raz wkręciwszy się w chorobie w kłamstwo, będziemy musieli się w nie wkręcać w nieskończoność. Co powiemy tej pacjentce, kiedy jej stan zacznie się pogarszać? Będziemy mówili, że kolejka się przesuwa, że NFZ nie refunduje chemii, że miała być kolejna operacja, ale ją nagle odwołano... Wiecznie coś będziemy musieli wymyślać.

Często bywa tak, że przyjeżdżam do domu chorego oznakowanym hospicyjnym samochodem, a rodzina błaga mnie, bym postawił auto trzy ulice dalej, bo mama nie wie, że jest ciężko chora. Zasadniczo się na to nie zgadzam. Mój zespół też jest nauczony, by w tej kwestii być nieustępliwym. No bo co mam powiedzieć? Że tak sobie przejeżdżałem, wpadłem, pomyślałem, że tu będzie pani Zosia i na pewno będzie chora? Ile to tłumaczeń ludzie potrafią wymyślić... „Wiesz, mammo, bo ksiądz Jan tak tu jeździ, odwiedza i wujek Kazek spotkał księdza na stacji benzynowej i powiedział mu, że jesteś chora, więc wpadł. Zupełnie przez przypadek był w komży, z Najświętszym Sakramentem i przygotowany do posługi kapłańskiej”.

Pacjentka coś podejrzewa, rodzina dokładnie wie, ale tańczą wokół siebie. To jest chocholi taniec. Przychodzę do pacjentki, a ona mi mówi: „Proszę księdza, ja wiem, że umieram, ale oni nie wiedzą. Moja córka miała zawał, niech jej ksiądz nic nie mówi”. I wtedy moją rolą jest krążenie między kuchnią a pokojem i uzgadnianie prawdy. Doprowadzenie do tego, żeby oni pobyli razem, chwycili się za ręce i byli blisko.

Możemy w nieskończoność budować nadzieję, tylko że ostatni okres będzie tak krótki, iż mogą tego wszystkiego nie unieść. Szczególnie jak pacjent czy pacjentka jest osobą młodą, tak jak ja, to wszyscy mówią: „Musisz z tego wyjść, musisz się trzymać, musisz być dzielna”. I w pewnym momencie pacjenci czują się winni, że nie zdrowieją. Pamiętam takiego młodego ojca, który odchodził i powiedział: „Jestem takim strasznie złym ojcem, że nawet nie potrafię wyzdrowieć”.

Droży państwo, gdyby moje zdrowie zależało od mojej woli, tobym ten telefon, który trzymam teraz w ręce, zjadł na waszych oczach. Już bym go zaczął chrupać.

Pewna pacjentka poprosiła mnie, żebym porozmawiał z jej najbliższymi, którzy wymuszali na niej jedzenie. W ostatnich dniach jej życia wszystko się skupiło na walce o jogurcik – jak ja to nazywam. „Zjedz, musisz być silna”. Marnowanie czasu na jogurciki, zamiast wykorzystywanie go na prawdziwą bliskość – jakie to bezsensowne. Ta kobieta wyrzuciła członków swojej rodziny i poprosiła mnie: „Niech ksiądz do nich zejdzie i powie im, że ja im na złość nie umieram”. Wasi najbliżsi na złość wam umierać nie będą. Musimy to przyjąć, że choroby się zdarzają. Musimy też wszystko otulić miłością.

Powrócę do dzisiejszej Ewangelii, z której wynika, że wrażliwość na drugiego, choćby nie wiem jak był inny, choćby nie wiem jak był dziwny, jest właściwie kryterium zbawienia. Im będziemy wrażliwsi, im uważniejsi na drugiego, tym bardziej będziemy podobni do tych, którzy ze zdziwieniem zapytają: „Kiedy widzieliśmy Cię głodnym i nakarmiliśmy Ciebie? Spragnionym i daliśmy Ci pić? Kiedy widzieliśmy Cię przybyszem [uchodźcą] i przyjęliśmy Cię? Lub nagim i przyodzialiśmy Cię? Kiedy widzieliśmy Cię chorem lub w więzieniu i przyszliśmy do Ciebie?”. Bo czułe gesty będą niejako naturalnie wypływały ze zwykłej ludzkiej przyzwoitości.

Ani wasze kryzysy, ani wasze choroby, ani moja choroba nie dają nam żadnych szczególnych praw – na przykład do wygłaszania arbitralnych sądów, nie zwalniają nas też z moralnych powinności. Dla mnie słowo „powinność” jest kluczowe. Obowiązek bywa narzucony z zewnątrz, powinność to jest coś, co odczytuję jako dyktat mojego jestestwa. Zatem jeśli na przykład przestaniecie walczyć o relacje z najbliższymi, to będzie coś najgorszego, co możecie w życiu zrobić. Jeżeli zaniedbaliśmy bliskość, przytulanie, zaufanie, jeżeli łamiemy sumienie, to wtedy mamy się czego bać.

Zanim zachorowałem, bałem się wielu rzeczy, wielu więcej niż dziś.

Przestałem za przyczyną raka, a także – jak sądzę – Jerzego Popiełuszki, który mówił, że największą tragedią człowieka jest strach, który go paraliżuje, zwłaszcza moralnie. Ks. Popiełuszko w pewnym momencie swojego życia znalazł się w takiej sytuacji, że bardziej cierpiał od wierzących czy nawet od hierarchii niż od ludzi z zewnątrz. Jak byłem w seminarium, mądry przełożony powiedział, że „o wiele łatwiej jest cierpieć za Kościół, a o wiele trudniej od Kościoła”. Tego jakoś tam doświadczyłem. Był taki moment, kiedy Kościół (w wymiarze gdańskim), który kocham, jeździł po mnie jak walec. Nie będę opowiadał szczegółów, bo wyjdę na frustrata. Każdy ma jakieś kompleksy, każdy by chciał zostać zauważony – to jest takie ludzkie, naturalne. Pojawił się w moim życiu paniczny strach, bo telefony w nocy, bo przekleństwa – my z tobą zrobimy to i tamto. Wtedy poprosiłem: „Jerzy, wyzwól mnie z tego potwornego strachu”. Niedługo po tym przyszedł dzień, w którym okazało się, że mam glejaka czwartego stopnia. Kiedy ze mnie zeszło napięcie, otrząsnąłem się z pierwszego szoku, mówię: „Jerzy, ale nie z takiej grubej rury, nie tak ostro! Teraz mnie z tego wyciągaj”. Tak całkiem serio: przykład Jerzego Popiełuszki i ta moja choroba uwolniły mnie z lęku, dały niezwykłą wolność w wypowiedaniu się, ale także w wierności własnemu sumieniu. Czy macie w sobie tyle siły, żeby zejść na dno swojego sumienia i wszystko bardzo dokładnie ponazywać?

Czy był taki moment, że drugiego człowieka wdeptałem w ziemię? Czy był taki moment, że drugim człowiekiem pogardziłem, nawet kiedy mnie istotnie skrzywdził? Czy był taki moment, kiedy postąpiłem naprawdę podle? Czy był taki moment, kiedy byłem wezwany do czegoś szlachetnego i nie zrobiłem tego z czystego egoizmu, oportunisty albo z jakichkolwiek innych powodów?

Nie ma zgody na nieczułość. Nie ma zgody na pogardzanie kimkolwiek, bez względu na to, kim ten ktoś jest. Nie ma zgody w duszpasterstwie na delikatność drwala, na okładanie innych maczugą po głowie. Ani przykazaniem, ani krzyżem, nawet w najlepszych intencjach, nie można nikogo chłostać. Obowiązkiem księdza jest być czytelnym znakiem, coś pokazywać, a nie pouczać.

Mój ulubiony fragment Pisma Świętego brzmi: „Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili”. Proszę pamiętać, że tam nie ma gwiazdki, przypisu: „chyba że jesteś inny, chyba że jesteś dziwny, chyba że jesteś inaczej myślący, chyba że cię po prostu nie lubię”. Czy był taki moment, kiedy kimś pogardziłem?

Chciałbym wam powiedzieć jeszcze jedno: walczcie o siebie, nie dajcie się wdeptać kryzysom beznadziejności, chwilowej ciemności, walczcie o czyste sumienie i nigdy nie myślcie, że Bóg jest przeciwko wam.

Odczytuję moje chorowanie także jako pewien sens. Chcę być bardzo prawdomówny. Ten glejak czwartego stopnia, który bardzo źle rokuje, nie jest dla mnie niczym przyjemnym, ale też nie jest jakimś potworem i tragedią – jestem po prostu chory. Ani ze mnie żaden wielki bohater, ani jakaś wielka ofiara. To, co się dzieje w mojej głowie, każe mi wykorzystać ten nowotwór, żeby cały czas machać łapami i mówić to, co mi sumienie dyktuje w kontekście prawdy. I dobić do końca – zejść ze stanowiska księdza, kiedy taka będzie wola Pana Boga, i zrobić to godnie, w miarę sprawnie, z klasą. Amen.

8.

Mięsień bliskości

Co zrobiliśmy ponad zwykłą przyzwoitość? Jest więcej miłości, więcej bliskości, więcej uważności na drugiego człowieka, więcej dawania z siebie za darmo, życzliwego patrzenia na świat?

Ewangelia według św. Mateusza 25, 31-46.

Jej tekst znajduje się [TUTAJ](#).

Drodzy państwo!

Byłoby pewnie nudno i schematycznie, gdybyśmy Ewangelię o sędzie ostatecznym czytali dosłownie, zdanie po zdaniu. Ona jest jasna. Pokazuje, jak w życiu powinniśmy postępować. To, co może nam umknęło, to różnica w zdolnościach intelektualnych sprawiedliwych i niesprawiedliwych. Można powiedzieć, że ci niesprawiedliwi byli o wiele mądrzejsi od sprawiedliwych, bo natychmiast zapytali: kiedy widzieliśmy Cię, Panie, takim a takim, a nie usłużyliśmy Tobie? Nie mieli w sobie takiego odruchu bezwarunkowego: widzę nieszczęście – pomagam. Pewnie kalkulowali, czy to się opłaca, czy ktoś tego nie wykorzysta. Ale w momencie, kiedy coś zaniedbali, mieli świadomość, że nie służą dobrej sprawie. I pewnie wewnętrzny głos ich oskarżał.

Sprawiedliwi działają niejako automatycznie, dobro mają wpisane w serce. Kiedy widzą potrzebującego człowieka, to nie przeliczają, nie kalkulują, tylko działają na poziomie własnego sumienia. Chciałbym, aby właśnie sumienie stało się głównym tematem tego kazania.

Czym człowiek różni się od białka? Czasem zadaję sobie to pytanie. Miewam wątpliwości – patrzę na siebie i myślę: może to tylko białko, może to tylko ubranko? Rzadko kiedy jednak definiujemy siebie jako najwyższą formę inteligencji białka. To, co nas od reszty białek odróżnia, to sumienie. Wszyscy je mamy.

Granica między dobrymi i złymi wcale nie musi przebiegać między wierzącymi a niewierzącymi. Raczej pomiędzy wrażliwymi a niewrażliwymi. Unsere heilige Vater Benedikt XVI, mój ulubiony papież z ostatnich kilku, jeden z najwybitniejszych intelektualistów naszego czasu, zawsze mówił, że najistotniejsza jest wpisana w serce człowieka zasada prawa naturalnego: dobro czyń, a zła unikaj. Oznacza to, że każdy człowiek – bez względu na kulturę, religię czy światopogląd – bardziej jest skłonny do dobrego niż do złego. To nie znaczy, że zawsze ci się wszystko uda. Może się pojawić zaciemnienie sumienia, może przyjść czas mroczny. Wtedy się pogubimy. Ale generalnie powinniśmy iść za dobrem, a próbować unikać zła, choć to nie zawsze, jak podkreśliłem, nam wyjdzie.

Ojciec Święty Benedykt XVI twierdzi, że w sumienie każdego człowieka są wpisane pewne archetypy przykazań – wspólne dla wszystkich religii i kultur. Na przykład: „nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”, „dzień święty święcić” – wszystkie religie mogłyby powiedzieć: uznawaj, że istnieje świat pozanaturalny, nadprzyrodzony, że trzeba w coś albo kogoś

wierzyć, w kimś albo czymś pokładać nadzieję.

Kolejnym archetypem będzie: „nie krzywdź”, czyli nie zabijaj, nie kradnij, nie okłamuj. Pod tymi zakazami wszyscy ludzie chętnie by się podpisali.

Następna rzecz: „nie cudzołóż”, „nie pożądaj żony bliźniego twego”. To znaczy, że rodzina jest wartością. Jeżeli tych fundamentalnych zasad będziemy się trzymać, to nigdy nie przegramy.

Drodzy państwo, o co chodzi w tym życiu? Chodzi o zbawienie. My, katolicy, mamy to szczęście, że nasze życie nie kończy się wraz ze śmiercią. W drugim czytaniu usłyszeliśmy, że „jako ostatni wróg zostanie pokonana śmierć”. Pani i ja, pan i ja – raz zaistniawszy na świecie, będziemy istnieć wiecznie. Musimy tylko zadbać o to, by żyć wiecznie po prawej stronie, to znaczy, żeby nie łamać własnego sumienia. Sumienie to najbardziej intymny głos w nas, który nam mówi, co jest dobre i co jest złe. Musimy go słuchać, nie możemy go oszukiwać. Jesteśmy mistrzami świata w oszukiwaniu i zagłuszaniu własnego sumienia. Mówię to także do siebie, a może przede wszystkim do siebie... Są takie momenty w życiu, kiedy słyszymy trzask swojego łamanego sumienia. Ono nam mówi: nie rób czegoś, albo: czyn coś dobrego, powstrzymaj się od zła, a my robimy na przekór i wtedy następuje trzask. Warto do tego momentu się cofnąć i odbyć, przynajmniej raz na jakiś czas, głęboką spowiedź. „Byłem chory i w więzieniu, a nie odwiedziliście mnie”. Dwie grupy są postawione na równi: chorzy i więźniowie, czyli przestępcy, ludzie w jakimś sensie chorzy na duszy, bo złamali własne sumienie i w wyniku tego znaleźli się w więzieniu. Nie przestali jednak być ludźmi, naszymi braćmi.

Prędzej czy później w naszym życiu pojawi się jakaś tragedia. I niekoniecznie będzie nią ciężka, nieuleczalna choroba. To może być kryzys, depresja, rozwód czy jakieś inne życiowe załamanie. Kiedy możemy ponieść największą porażkę w takich sytuacjach? Kiedy o wszystkie nieszczęścia zaczniemy oskarżać albo naszych bliskich, albo Pana Boga.

Jak państwo słyszeli, jestem śmiertelnie chory. I oczywiście modłę się o cud, bo to, co się zagnieździło w mojej głowie, nie jest czymś, co mnie cieszy. Jestem otwarty na cud, ale na niego nie liczę. Modłę się. Nikt mi nie zabroni modlić się o cud, ale nie mogę zbudować swojej nadziei na nim, bo będę załamany, jeżeli on nie nadejdzie.

Zamiast użalania się, jak to jest ciężko i strasznie, chciałem państwu dać chociaż jedną odpowiedź na temat bioetyki: mówić chorym, że są chorzy, czy

raczej przed nimi to ukrywać? We współczesnej praktyce bioetycznej mówimy, żeby raczej informować o chorobie, poza wyjątkowymi przypadkami. Ale skoro mówić, to kiedy, jak i po co? Każdemu z nas odpowiedzi na te pytania powinna podsunąć wrażliwość.

My, chorzy, od najbliższych wcale nie potrzebujemy głupiego pocieszactwa. Potrzebujemy, żebyście się nie bali z nami o tym rozmawiać. To często w zdrowych jest strach: jak ja mu to powiem? Tylko proszę zwrócić uwagę, że wtedy zawsze jestem „ja”, nigdy ten drugi. W Ewangelii padają słowa: „Byłem chory, a nie przyszliście do mnie”, czyli nie usiedliście przy moim łóżku, nie pogadaliście ze mną. Potrzebujemy od was takiego przekazu: „Boję się o ciebie, jak nie wiem co. To jest trudna sytuacja, zrobimy wszystko, żebyś wyzdrowiał, będziemy walczyć, ale nie bój się. Wszystko jedno jak będzie, czy dobrze, czy źle, ja z tobą będę, nie zostawię cię, bo cię kocham”.

Żeby mieć siłę i odwagę do powiedzenia czegoś takiego, trzeba nad relacjami z innymi ludźmi cały czas pracować. Także wtedy, a może zwłaszcza wtedy, kiedy nam się rozpadła rodzina, mamy moralny obowiązek walki o relacje. Gdybym miał dziecko (a bardzo bym chciał mieć, ale, przysięgam, nie mam) i ono – wszystko jedno, czy malutkie, czy dorosłe – musiałoby tulić się do jakiegoś obcego faceta, a ja nie zadałbym sobie wysiłku, żeby o nie zawalczyć, byłaby to dla mnie kosmiczna porażka.

Kto nie zawalczył o relacje, ten drań. Zwłaszcza jeśli opuścił matkę z dziećmi. Zwróćcie uwagę: jestem koncyliacyjny, rzadko używam słowa „drań” w odniesieniu do innych. Ale nie mogę go nie użyć, gdy spotykam się z sytuacją, w której młoda matka dowiaduje się o nowotworze trzustki i nagle ją facet zostawia, bo to dla niego za ciężkie. Ale zostawia ją również dlatego, bo zakochał się w innej pani.

Lubię porównywać bliskość do mięśnia. Ten mięsień miłości, bliskości, a także sumienia musi być wyćwiczony na trudne czasy, bo kiedy przyjdzie tragedia, choroba, rozpadnie nam się związek, popłaczemy się, bo będzie ciężko, ale wpadniemy w ramiona najbliższych. Dlatego błagam was, rozmawiajcie z sobą, okazujcie sobie czułość, przytulajcie się. Pan siedzący tutaj robi najcudowniejszą rzecz, jaką może zrobić, tuli swoją córeczkę. I właśnie dlatego jest taka spontaniczna. Ona na pewno wyrośnie na wspaniałą, pewną siebie, otwartą dziewczynę. Bardzo panu zazdrozczę. Jakbym miał dziecko, tobym je tulił i był blisko.

Często ludzie mówią: nikogo nie okradłem, nikogo nie zabiłem, jestem

w porządku. Rzeczywiście trudno jest być przyzwoitym współcześnie. Ale czy zwykła przyzwoitość nam, wierzącym, powinna wystarczyć? Wydaje się, że jesteśmy wezwani do przyzwoitości z plusem. Co zrobiliśmy ponad zwykłą przyzwoitość? Jest więcej miłości, więcej bliskości, więcej uważności na drugiego człowieka, więcej dawania z siebie za darmo, życzliwego patrzenia na świat?

Lubię słowo „wielkoduszność”. Spróbujmy być wielkoduszni we wszystkim: w dawaniu, kochaniu, walce o relacje. Dajmy z siebie więcej, niż musimy. Ja państwu obiecuję, że dopóki będę mógł chodzić i gadać, to będę dawał więcej, niż muszę. Najważniejsze moje zadanie w hospicjum to trwanie przy chorych. Jak przestanę być przy nich, to mogę natychmiast przestać być księdzem. To jest mój psi, księzowski obowiązek: codziennie być z moimi umierającymi.

Kończąc, bardzo państwa proszę o modlitwę w mojej intencji. Nie bójcie się śmierci. To może dziwnie zabrzmieć, śmierć nie może być smutna i straszna. Ona jest tak oczywista jak życie. Zaprzeczanie temu jest idiotyzmem. Albo my tę śmierć weźmiemy za rogi, przygotujemy się na nią poprzez godne życie, przez niełamane sumienia, albo nas rozpacz wdepcze w ziemię, zniszczy nasze człowieczeństwo. Dlatego bardzo was proszę: odwagi! Nie bójcie się zwłaszcza bycia blisko, kochania się i – tu was zaskoczę – także umierania.

Proszę, żebyście się czasem za mnie pomodlili, bym do końca tego życia dopłynął godnie. Mam ochotę żyć na pełnej petardzie, dopóki Pan Bóg daje mi jasność umysłu, bo wiadomo, że g lejak wcześniej czy później zabierze mi umiejętność poprawnego formułowania myśli. Mam nadzieję, że jak najpóźniej. O to się dla mnie módlcie. Amen.

9.

Otulenii miłością

Lubię powtarzać, że Bóg jest kimś dramatycznie bliskim.
To trochę Tischnerowskie sformułowanie.
Różne są poziomy bliskości i dramatu.

Drodzy państwo!

Świadomość i wrażliwość decydują o naszym zbawieniu lub potępieniu. W pierwszym czytaniu słyszeliśmy, że owce, czyli my (nie chcę robić podziaku, że wy jesteście owce, a ja jestem duszpasterz; nie, ja też jestem owcą, żeby nie powiedzieć: baranem), idziemy w jednym kierunku – ku zbawieniu. Podejmujemy wysiłek łązenia po tym świecie, żeby się zbawić.

Może was zaskoczę: nie będę jakoś szczególnie walczył o wasze zbawienie. Moim podstawowym celem jest siebie zbawić. Jeżeli przy okazji kogoś do Pana Boga przyciągnę, a może tylko nie odepchnę, to niech Stwórcy będzie chwała. Każdy ma w tym sensie być egoistyczny i dbać o własny interes, zabiegając o własne zbawienie. Zdarza się nam pobłądzić. Przyjdą dni mroczne i ciemne, przyjdzie moment zaćmienia sumienia, kompletnej depresji. Nie możemy wtedy zapominać, że w naszej prywatnej tragedii nie jesteśmy sami. Dzięki temu, że Bóg pokornie zamknął się pomiędzy główką a stópkami małego dziecka – że najpierw stał się blastocystą, potem embrionem, małym dzieckiem urodzonym w Betlejem, później nastolatkiem (może robił jakieś głupoty, o czym Ewangelia nie wspomina, ale był bez grzechu), a następnie stał się dorosłym mężczyzną, którego historię znamy – możemy czuć Go najbliżej jak się da. On wszystko o nas wie. Lubię powtarzać, że Bóg jest kimś dramatycznie bliskim. To trochę Tischnerowskie sformułowanie. Różne są poziomy bliskości i dramatu.

Nie można założyć, że Bóg nam błogosławi, kiedy jesteśmy młodzi, piękni i bogaci, ale gdy coś złego się z nami dzieje, przestaje to robić i wtedy z tego młodzi, piękni i bogaci zostaje tylko „i”.

Chroni nas w życiu też poczucie, że drugi człowiek nas kocha, że mu na nas zależy. Wiem, że walka o relacje na emigracji może być bardzo trudna. Być może wasze rodziny się kompletnie rozjechały. Ale to nikogo nie zwalnia z obowiązku czy powinności moralnej nawet, by o pokiereszowane relacje walczyć. Włóżcie mnóstwo wysiłku w to, żeby się kochać, przytulać swoje dzieci, żeby z sobą rozmawiać. A gdy ktoś z waszych bliskich jest chory, niekoniecznie mówcie mu, że na pewno z tego wyjdzie. Przede wszystkim nie wolno wam go oszukiwać, bo straci do was zaufanie. Ale musi mieć pewność, że niezależnie od tego, co się stanie, nigdy go nie zostawicie.

Wybierajcie przyzwoitość. Jeżeli będziemy przyzwoici w rozliczeniu jednego franka, to będziemy tacy w wielu innych sprawach. Jeżeli będziemy mieli silny mięsień dobroci i bliskości, to choćby przyszła największa

tragedia, nie rozpadniemy się na tysiące kawałków jak kryształ. Ocalejemy dzięki temu, że będziemy mieli w naszej rodzinie czy wśród przyjaciół wyćwiczony mechanizm rzucając się sobie w ramiona. Będzie trudno, ale otuleni tą miłością, związani nią przejdziemy przez najgorszy czas.

Nie mogę powiedzieć wam, że jesteśmy nieśmiertelni. W sensie duchowym – tak. Ale ponieważ jesteśmy biologią, to prędzej czy później czterdziestu z nas umrze na zawał, kolejnych czterdziestu na nowotwory, reszta z powodu wypadków, starości i tak dalej. Im społeczeństwo będzie starsze, tym więcej nowotworów będzie wykrywanych. Nie ma się co obrażać, tak po prostu jest. Jeżeli przestaniemy pomagać cierpiącym ludziom, być z nimi, to wpadną w panikę, tak jak wpadło w panikę społeczeństwo Belgii, Holandii i Szwajcarii, i sięgną po eutanazję. Dlatego uważam, że hospicja to praktyczna katolicka odpowiedź na eutanatyczne myślenie świata.

Nie wchodźmy w spór ze zwolennikami eutanazji i nie okładajmy się argumentami po głowach, tylko zastanówmy się, co możemy wspólnie zrobić, by chorzy nie byli pozostawieni sami w tym dramacie. Czy musimy ich unicestwiać? Może połączmy siły (bo zakładam, że zwolennicy eutanazji mają dobre intencje, być może w jakimś sensie chcą chronić cierpiących, by ci biedni śmiertelnie chorzy ludzie nie musieli podejmować takich decyzji). Czy jest możliwa współpraca między dwoma obozami? Tak, to propozycja współpracy. Skuteczność medialna niech idzie w parze ze skutecznością medycyny paliatywnej, która może zaproponować pacjentom przeżycie choroby bez niepotrzebnego dyskomfortu, umożliwiając pozostanie w swojej roli: matki, ojca, syna, córki i tak dalej.

Chciałbym przeżyć moje życie do końca na pełnej petardzie. Jak widzicie, staram się być dość aktywny. Teraz mam naświetlania w Zurychu, przyleciałem do was na dwa dni, gadam kazania, potem wracam na naświetlania, a po nich jadę do Bazylei.

Co jest dla mnie najtrudniejsze (żeby nie było, że jestem takim strasznym chojrakiem)? To, że w chorobie co jakiś czas przychodzi zła informacja. O tym na przykład, że jest wznowa, czyli że mój i tak już krótki czas kolejny raz się skrócił. To się przeżywa jako stratę, człowiek czuje, że coś mu się wymyka z rąk. Gdy dociera do mnie trudna wiadomość, muszę reformować moje życie. Ostatnio dowiedziałem się, że raczej zostało mi pół roku niż rok, a planowałem trochę dłużej... No więc miałem dwa dni dołka, czyli tak naprawdę żałoby. Ale jak państwo widzą, nie wyglądam na potwornie załamane. Musiałem się jakoś ogarnąć, zrozumieć, co się we

mnie dzieje, jakoś na nowo zaplanować pewne działania. Smutne jest to, że za jakiś czas przyjdzie nowa informacja i znów będę musiał dokonać reformy. Ale co? Mam się załamać, wkurzyć, powiedzieć, że mam dosyć, że się wylogowuję?

Bardzo was proszę, byście wymagali od siebie w najmniejszych sprawach, byli trochę więcej niż przeciętni, dawali z siebie coś ponad przyzwoitość. Bo to, że nie zabijamy, nie kradniemy, że ja zachowuję celibat, to jeszcze żadna chwała. A co: miałbym się łajdaczyć? To, że państwo kochają swoje dzieci, że ich nie katują, to tylko wychodzenie na zero. Róbmy coś ponad to, dawajmy innym, tym najmniejszym, najsłabszym z naszego życia więcej.

I bardzo was proszę o modlitwę w mojej intencji. Żebym jak najdłużej zachował jasność umysłu, żeby ten nowotwór jak najpóźniej przeżarł mi mózg i zerwał mój kontakt z rzeczywistością, a przede wszystkim – co jest dla mnie jako wierzącego księdza istotne – żebym do końca mógł sprawować Najświętszą Ofiarę, do ostatnich moich dni mógł przyjmować komunię świętą, prawdziwe Ciało Jezusa Chrystusa, i choćby jednym palcem spowiadać i udzielać rozgrzeszenia. Amen.

10.

Niewierność jest przegraną

Zastanówcie się, czy jesteście wierni.
Ja to pytanie zadaję sobie kilka razy w ciągu dnia,
zawsze kiedy cię niewierności pada na mój pysk.

Kochani!

Pan Bóg zawiera z nami przymierze, podobnie jak niegdyś z ludem wybranym. Wybrał dwunastu, a wśród nich także nikczemników (nie mówię tylko o Judaszu Iskariocie, bo każdy z apostołów był bardziej lub mniej nikczemny, miał swoje wady). Wybrał ich dokładnie tak samo jak nas. Nie chcę porównywać siebie ani państwa do apostołów, choć coś z nich w nas jest...

Z wybraniem wiąże się osobiste przymierze. Zawarł je z wami w momencie chrztu. Powiecie, że byliście nieświadomi. Ale tylekroć, ilekroć odnawiamy przyrzeczenia chrzcielne, kiedy nas pytają, czy wyrzekamy się szatana, a my mówimy: „wyrzekamy się”, kiedy nas pytają, czy wierzymy, a my odpowiadamy: „wierzymy” – jest to ponowne zawarcie przymierza. Bardzo silne i osobiste.

W Starym Testamencie przymierze zawierało się przez pokropienie krwią; kapłan szedł i nią kropił. Symbolem tego przymierza w liturgii jest niedzielna aspersion, kiedy ksiądz idzie przez kościół i kropi wodą. Niegdyś śpiewano podczas tego obrzędu psalm po łacinie „Asperge me, Domine...”. To jest moment dotknięcia Bożą łaską, moment oczyszczenia, a przede wszystkim wybrania.

Dlatego dzisiaj uczciwie odpowiedzmy sobie na pytanie: czy odszukałem siebie w najgłębszym człowieczeństwie, czy odszukałem relację z Panem Bogiem i czy jestem jej wierny? Bo przymierze zawiera w sobie wierność. Wierność (podobnie jak wolność) jest najwyższą emanacją ludzkiej godności, w ogóle człowieczeństwa.

Ktoś by powiedział, że życie w celibacie jest uwięzieniem. Tak, jeśli celibat będziemy traktować jako chroniczny brak okazji poparty pozytywnym aktem woli. Ktoś inny może będzie twierdził, że życie w małżeństwie, kiedy się drugiej osobie przysięgło miłość i uczciwość oraz że się jej nie opuści aż do śmierci, jest ograniczaniem własnej wolności. Tymczasem wierność w małżeństwie i celibacie, wsparta pozytywnym aktem wolnej woli, to jest dopiero wolność! W tym kontekście wszelka niewierność jawi się jako jakiś beznadziejny przymus fizyczny. Niewierność, w moim odczuciu, jest zawsze przegraną człowieka.

Nie chcę was już dłużej mordować. Zastanówcie się tylko, czy jesteście wierni. Ja to pytanie zadaję sobie kilka razy w ciągu dnia, zawsze kiedy cień niewierności pada na mój pysk. Amen.

11.

Obowiązki przed pobożnością

Łatwo możemy przeoczyć coś naprawdę ważnego,
gdy jesteśmy niewolniczo przywiązani (mówię to także do siebie)
do pewnych rytuałów.

Kochani!

Ewangelię św. Marka o zrywaniu kłosów w szabat znamy na pamięć i wiemy, jakie jest jej przesłanie. Jezus mówi: „To szabat został ustanowiony dla człowieka, a nie człowiek dla szabatu”. Nie w czynach kryje się łaska czy też grzech, ale w wewnętrznym nastawieniu. Wielokrotnie tłumaczyłem, choćby w kontekście piątkowego postu czy konieczności bycia w niedzielę w kościele, że ważniejsze są obowiązki stanu niż obowiązki religijne. Powtórzę jeszcze raz: jeżeli mamy obowiązek opieki nad chorym, udając, że jesteśmy pobożni, uchylił się od niego, by spełnić obowiązki religijne, to – śmiem twierdzić – zgrzeszyliśmy. Co więcej, jeżeli ktoś jest zaangażowanym katolikiem, tak zaangażowanym, że aż zaniedbuje obowiązki rodzinne, związane z tym klasycznym powołaniem, to wolno mi sądzić, że to nie przynosi dobra. Spotkałem rodziny tak zaangażowane w neokatechumenat (albo i inne wspólnoty, które się ocierały o sekty), że brakowało im przestrzeni na miłość do dzieci. Łatwo możemy przeoczyć coś naprawdę ważnego, gdy jesteśmy niewolniczo przywiązani (mówię to także do siebie) do pewnych rytuałów. We wszystkim trzeba umieć zachować umiar i rozsądek. Gdybym ja, człowiek odpowiedzialny za hospicjum, udawał mnicha, leżąc w kaplicy i się biczując, a moi chorzy byłiby głodni, niezaopatrzeni sakramentalnie i wyli z bólu, to coś by chyba było nie tak. No ale jakoś bym to hospicjum prowadził. Tylko że nie mam hospicjum prowadzić jakoś, mam je prowadzić porządnie.

Autor Listu do Hebrajczyków zawsze mnie wprowadza w konfuzję, ponieważ posługuje się takimi zdaniami podrzędnie złożonymi, że trudno to poprawnie przeczytać. Wszystko mi dzisiaj skakało przed oczyma. Ale uchwycmy się nadziei, o której przecież pisał. Ona jest czymś, co jest zakotwiczone w Bogu. „Nie jest Bóg niesprawiedliwy, aby zapomniał o czynie waszym i miłości, którą okazaliście dla imienia Jego, gdyście usługiwali świętym i jeszcze usługujecie. Pragniemy zaś, aby każdy z was okazywał tę samą gorliwość w doskonaleniu nadziei aż do końca, abyście nie stali się ospałymi, ale naśladowali tych, którzy przez wiarę i cierpliwość stają się dziedzicami obietnic. Albowiem gdy Bóg Abrahamowi uczynił obietnicę, nie mając nikogo większego, na kogo mógłby przysiąc, przysiągł na samego siebie, mówiąc: Zaiste, hojnie cię pobłogosławię i ponad miarę rozmnożę”.

Pan Bóg nie mógł przysiąc na kogoś większego, przysiągł na samego siebie. Skoro On przysięga na samego siebie, a autor listu prosi, by nadzieja była kotwicą naszej duszy, to nie upadajmy na duchu.

Mamy nadzieję, że ci dwaj nowi pacjenci w ciężkim stanie, których dzisiaj przywieźliście, nie upadną na duchu, nawet jeśli się okazało, że to jest ich ostatnia godzina. Módlmy się o to, abyśmy w ostatniej godzinie wytrwali w nadziei, żeby nas cierpienie fizyczne nie odczłowieczyło, żebyśmy dali radę, kiedy się będzie zbliżała nasza własna śmierć. Amen.

12.

Nadzieja wbrew wszystkiemu

Nie bójcie się ryczeć, bo płacz jest bardzo męski.
Krwotok trzeba hamować, a łzy niech popłyną.

Ewangelia według św. Marka 3, 1-6

W dzień szabat Jezus wszedł do synagogi. Był tam człowiek, który miał uschlą rękę. A śledzili Go, czy uzdrowi go w szabat, żeby Go oskarżyć. On zaś rzekł do człowieka, który miał uschlą rękę: „Stań tu na środku!” A do nich powiedział: „Co wolno w szabat: uczynić coś dobrego czy coś złego? Życie ocalić czy zabić?” Lecz oni milczeli. Wtedy spojrzawszy wkoło po wszystkich z gniewem, zasmucony z powodu zatwardziałości ich serca, rzekł do człowieka: „Wyciągnij rękę!” Wyciągnął, i ręka jego stała się znów zdrowa. A faryzeusze wyszli i ze zwolennikami Heroda zaraz odbyli naradę przeciwko Niemu, w jaki sposób Go zgładzić.

Kochani!

Oburzenie Jezusa, o którym wspomina św. Marek w Ewangelii o uzdrowieniu człowieka z uschniętą ręką, jest oczywiste, bo ludzie powołani do głoszenia słowa Bożego, nadziei Starego Testamentu, zawiedli na całej linii. Skupili się na jakimś beznadziejnym przepisie, na szczególe, że w szabat nie można pracować. Jezus chyba miał nadzieję, że coś zrozumieją, gdy zaapeluje do ich rozsądku, do ich serc. Potrzęsnał nimi, pytając, co wolno zrobić w szabat: coś dobrego czy złego, życie ocalić czy je zabić? Każdy człowiek ze zdrowym rozsądkiem powiedziałby: ocalić, uzdrowić, działać mimo przepisów, a może przede wszystkim ze względu na przepis miłości Boga i bliźniego – przecież nie nowotestamentalny, ale starotestamentalny. A oni milczeli. To milczenie było porażką, dramatem tamtych ludzi i w gruncie rzeczy dramatem Jezusa, który był przecież ich współplemieńcem, Żydem i – dobrze wiemy – Chrystusem, Bogiem, który pokazuje, że trzeba mieć nadzieję wbrew wszystkiemu. Nadziei trzeba się uchwycić jak kotwicy.

Wasza rodzina teraz jest w ciemnej dolinie. Wiem, jak mężnie przez tę dolinę przechodzicie. Z ogromnym szacunkiem, ale też zaskoczeniem przyglądałem się panu Andrzejowi. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, jak poważny jest jego stan. Był twardym wojskowym, ale jego serce nie było skamieniałe. Był otwarty na miłość.

Dobrze wiecie, jak wyglądała praca w jednostce w Rzucewie. Mieszkało tam mnóstwo rodzin na wespół patologicznych. Wy mieliście, macie – podkreślam czas terażniejszy – szczęście mieć ojca, który bardzo was kochał i kocha. Ta miłość nigdy nie przestanie istnieć. To było coś niezwykłego, kiedy mówił mi, że jedyne, czego się obawia to czy sobie bez niego poradzicie. Dyskutowaliśmy długo, chciałem go wzmocnić. Mówiłem, że na pewno dacie radę, bo was wspaniale wychował. Był dobrym ojcem – wiem o tym nie tylko od was, ale też od wielu waszych przyjaciół i znajomych.

W jego imieniu proszę was: kochajcie się, przytulajcie się, bądźcie blisko, przejdźcie przez to wszystko razem. Przed wami jeszcze trudny czas, pozwólcie sobie przetrwać tę tragedię. Bo to jest tragedia, kiedy młody człowiek odchodzi z powodu nowotworu trzustki. Dzielnie, może nawet zbyt dzielnie, próbował znosić swoją chorobę. Do tego stopnia, że nie mówił o cierpieniu. To było niemądre, bo bylibyśmy w stanie skutecznie mu pomóc.

Proszę was, aby ta tragedia nie popchnęła was w rozpacz. Jesteście zbyt silni, zbyt dzielni, zbyt kochani, zbyt wierzący, żeby pozwolić temu złu,

jakim jest choroba, na podwójny sukces. Pierwszym było to, że w cielesnym sensie odebrało wam tatę, a drugim mogłoby być to, żeby was jeszcze to zламаło.

Często, kiedy wspominamy o męczennikach, na przykład o św. Agnieszce, za której przyczyną także błagamy za pana Andrzeja, mówimy, że ich śmierć to narodziny dla nieba. Dlatego ta okazja, z której zamówiliście Mszę Świętą, jest jakoś, paradoksalnie, radosna. Skoro zawsze byliśmy u taty na urodzinach, właśnie 21 stycznia, to teraz także, choć on nie żyje. Jestem prawie pewien, bo on odszedł pojednany z Panem Bogiem, że już swoje urodziny obchodzi w chwale nieba. Dlatego niekoniecznie zamawiajcie Mszę Świętą rocznicową w dzień jego śmierci, tylko utrzymajcie ten zwyczaj chodzenia do ojca na urodziny (o których wiecie, że sąsiadują z dniem jego odejścia).

Nie bójcie się! Odwagi! Żyćcie w kontekście wieczności, bo przecież za chwilę staniemy po tamtej stronie. Mam nadzieję, że będziecie mieli szansę przytulić się do taty, być blisko w sensie duchowym.

Jeżeli chcecie, to spróbujcie się głęboko skupić, kiedy będziecie przyjmować komunię świętą. Nie bójcie się popłakać. Niech w tym będzie wszystko, co chcielibyście ojcu powiedzieć. Od wściekłości na tę sytuację po: tato, kocham cię, chcę być z tobą, jestem blisko, wybacz mi wszystko (bo w każdej rodzinie zawsze jest coś takiego, w mojej też). Niech to, co niedopowiedziane, w tej komunii świętej będzie wyrażone. Włóżcie w tę komunię całych siebie, całą swoją miłość. Nie bójcie się ryczeć, bo płacz jest bardzo męski. Krwotok trzeba hamować, a łzy niech popłyną. Amen.

13.

Czas niepewności

A gdyby Chrystus nie przyszedł? Gdyby Jego wtargnięcie w czas nie zmieniło historii, jak by ten świat wyglądał? Gdyby Chrystus nie wszedł w moje i państwa życie, to czy bylibyśmy takimi samymi ludźmi? Gorszymi? Lepszymi?

Drodzy państwo!

Jestem niezwykle wdzięczny księdzu Dariuszowi, że nie powiedział nam dzisiaj na początku, iż Adwent to radosny czas oczekiwania. Nic mnie bardziej nie denerwuje niż stwierdzenie, że Adwent to radosny czas oczekiwania. Cisną się na usta bardziej lub mniej dosadne sformułowania... Czy wszystko, do jasnej ciasnej, w Kościele musi być radosne? Przecież z doświadczenia wiemy, że życie różnie przebiega. Kościół w Adwencie nie śpiewa hymnu „Chwała na wysokości Bogu”, każe się ubierać w fioletowe szaty, żeby podkreślić, że jest to inny czas. Nie smutny, ale... nazywam go czasem niepewności, napięcia eschatologicznego.

Czy Adwent nie może być intensywnym czasem tęsknoty i refleksji? Przecież zastanawiamy się, co by się wydarzyło w naszym życiu, gdyby nie było Boga. Jak by wyglądała historia świata, historia zbawienia, gdyby Bóg nie przyszedł. Proszę sobie przypomnieć, jak pięknie pani organistka zaśpiewała na początku Mszy Świętej: „Spuśćcie nam na ziemskie niwy Zbawcę z niebios, obłoki. Świat był przez grzech nieszczęśliwy, wołał z nocy głębokiej. Gdy wśród przekleństwa od Boga czart panował, śmierć i trwoga...”. Istnieje grzech, lęk i strach. W Adwencie zawsze zadaję sobie pytanie: a gdyby Chrystus nie przyszedł? Gdyby Jego wtargnięcie w czas nie zmieniło historii, jak by ten świat wyglądał? Gdyby Chrystus nie wszedł w moje i państwa życie, to czy bylibyśmy takimi samymi ludźmi? Gorszymi? Lepszymi?

A może przyjdzie taki Adwent, że nie będzie narodzenia, że Chrystus po prostu nie przyjdzie? Może będzie Adwent tak źle przeżyty, że w ogóle przyjscia Chrystusa nie zauważymy? Spotykam ludzi w kryzysie, którzy mówią, że całe życie w jednym momencie im się załamało. Zastanawiam się, pewnie jak każdy logicznie myślący chrześcijanin: a jeżeli po tamtej stronie jest pustka, jeżeli istnienie Boga jest tylko ułudą? To jest właśnie to napięcie Adwentu.

Nie wiem, czy państwo pamiętają zespół Dżem, który był odsądzany od czci i wiary, kiedy zaśpiewał piosenkę „List do M.”: „Samotność to taka straszna trwoga, ogarnia mnie, przenika mnie. Wiesz, mam, wyobraziłem sobie, że nie ma Boga, nie ma, nie”. Oczywiście część kleru rzuciła się na Ryszarda Riedla i jego kolegów, że to jest obrazoburczy utwór. A to przecież piosenka pełna tęsknoty za Nim. Tej przerażającej tęsknoty, kiedy wyobrażamy sobie samotność bez Niego.

Jak nie stracić nadziei w sytuacji potwornego kryzysu? Będę powtarzał

do znudzenia: my, chrześcijanie, a zwłaszcza katolicy, wierzymy, że Pan Bóg świat stworzył i odkupił, że jest poza matriksem czasoprzestrzeni, poza tym pudełkiem, gdzie jest początek i koniec. Z jednej strony On ten cały wszechświat, który się nieustannie rozszerza, utrzymuje w istnieniu, jest Bogiem niedosięglym, nieogarnionym, niedotykalnym, a z drugiej strony – dramatycznie bliskim. Gdybyśmy popełnili pewien logiczny błąd i zaczęli Go oskarżać o wszystkie nieszczęścia, które się nam przydarzyły, to prędzej czy później stracimy ufność, nadzieję, poczucie sensu. Jeżeli mielibyście państwo obraz Boga, który zsyła na nas tsunami, wypadki, choroby i najchętniej wygrażalibyście mu palcem, mówiąc: dlaczegoś mi to zrobił?, to wolałbym, żebyście byli niewierzący. Bo taki Bóg po prostu nie istnieje.

Często słyszymy, zwłaszcza od opastych kaznodziejów (opastych nie tylko w sensie fizycznym, ale też intelektualnie lekko przytłumionych): „łącz swe cierpienie z cierpieniem Chrystusa”. Dostaję szau, gdy ksiądz, który wylewa się zza ambony, rzuca takie komunały, a za chwilę wsiada do wypasionego mercedesa. Bo on tak naprawdę nie wie, o czym mówi. Przede wszystkim: kto go tak uczy? Przecież nikt normalny tak nie gada. W seminarium czegoś takiego nie spotkałem. Czasem ludzie pytają mnie: czy was w seminarium uczą tak mówić? (chodzi o kaznodziejski ton). Gdzie tam. Ale, idąc dalej, wiem, co on chce powiedzieć: że czasem swój dyskomfort, swoje niedomagania można ofiarować za kogoś innego. Z punktu widzenia etycznego cierpienie fizyczne ma zerową lub znikomą wartość. Pan Bóg naprawdę nie potrzebuje bólu naszego zęba, nowotworu czy złamanej nogi, by zbawić świat. Ludowa teologia – „kogo Pan Bóg kocha, temu krzyżyki zsyła” – jest kompletnie nieteologiczna. Tak samo jak wątpliwa wydaje się teoria, że nasze cierpienie dopełnia męki Chrystusa. Przecież wszyscy dobrze wiemy, że jedna kropla krwi Chrystusowej zbawiłaby cały świat. Pan Bóg niczego nie potrzebuje od nas, to my Go potrzebujemy.

My, jako ta katolicka biologia, mamy prawo przyjąć komunię świętą, nie opłateczek. Błagam, nie opłatek – ten jest przy Wigilii, lecz prawdziwe, realne, substancjalne Ciało Chrystusa. Następuje wymiana: On przyjmuje nasze ciało i daje nam godność, a my przyjmujemy Jego Ciało i to nas wzmacnia. A skoro tak jest, to co nam się może stać? Jeżeli w tej perspektywie przyjmujemy każdą złą informację, to wygramy, nie damy się wszystkim nieszczęściom wbić, wklepać w ziemię, nie damy im zwyciężyć.

Jeżeli, założmy, szef księdza Dariusza gnębi go w naszej korporacji RCC, czyli Roman Catholic Church (mającej globalny zasięg, oddział w

każdej wiosce i dwa tysiące lat tradycji), to Chrystus w tym jego cierpieniu jest. Oczywiście, takie sytuacje nie mają przecież miejsca... Jeżeli ja dowiaduję się o ciężkim rozpoznaniu, nawet śmiertelnym, to przecież Chrystus się nie odwraca na pięcie, tylko jest we mnie, i (teraz antropomorfizuję) cierpi, płacze, współodczuwa. Współodczuwa ze mną, nie zostawia mnie w cierpieniu. Im bardziej nie czujemy Go w cierpieniu, ze względu na wystrzał emocji, tym bliżej nas On jest.

Widzą państwo, że ledwo łączę, ten pan mi pomaga, bo coś mi do głowy strzeliło (eufemistycznie to ujmując) i mam jeden z najbardziej hardcorowych nowotworów. Zatem to, co mówię, jest też wynikiem moich przemyśleń w obliczu trudnego doświadczenia. Były pytania, na które musiałem sobie sam odpowiedzieć. Mówię o tym tylko po to, by być dla państwa bardziej wiarygodnym. Nie jestem jedynie teoretykiem, który gdzieś tam wyskrobał doktoracik, albo gościem, który prowadzi hospicjum i opowiada łzawe historie, ale kimś, kto musi się z tematem choroby konfrontować. Dlatego mówię państwu: my, chorzy, wcale nie potrzebujemy pocieszactwa. Potrzebujemy bliskości. I mówię to ja, który uczciwie żyję w celibacie. Bliskość jest najważniejsza. Nie: „wyjdiesz z tego”, bo tak naprawdę tego nie wiemy. Powtarzanie tej mantry to jest bronienie siebie przed strachem. Niekiedy przychodzą do mnie ludzie i mówią: „niech nam ksiądz powie, że ksiądz z tego wyjdzie”. Powiedzieć mogę, że wyjdę. Ale są jeszcze pytania: „proszę księdza, kiedy ksiądz z tego wyjdzie?”. Albo prośby: „nie umieraj”. Kiedy odchodzi ktoś bliski, uświadamiamy sobie, że i my możemy umrzeć. No to mówię: nie wiem, w grudniu jestem załatany, ale postaram się w styczniu jakoś z tego wyjść. To nie jest prawda, bo statystycznie zostało mi kilka miesięcy. I albo je schrzanię, albo to wszystko szarpnę do przodu. Dlatego my, chorzy, o wiele bardziej od was, zdrowych albo jeszcze niezdiagnozowanych, potrzebujemy innego przekazu: nie bój się, jestem przy tobie, kocham cię, nigdy cię nie zostawię. Jak będzie świetnie, to będę z tobą skakał pod sufit, ale jak będzie beznadziejnie, to tym bardziej z tobą będę. Zawsze. Na szczęście mam tak kochanych najbliższych, że oni mi to dają, z moim nienarzucającym się Panu Bogu ojcem na czele. To jest coś, co możecie zrobić. Dlatego finalny, wielki apel: walczcie i dbajcie o relacje.

Wierność i czuwanie nad własnym sumieniem, które może podlegać napięciom, to coś, nad czym musimy pracować. Wyobraźcie sobie noc sumienia, które jest naciskane przez jakąś pokusę i nie widzi Boga. Obroni

się tylko tą siłą, którą wypracowało, kiedy miało światło. Dlatego, kończąc, posyłam wam całusa, Kocham was bardzo, ale kładę wam na sumienie odpowiedzialność za życie.

Bardzo proszę, abyście się za mnie modlili, żebym niczego na Panu Bogu nie wymuszał i żebym mógł umrzeć godnie, z klasą, bez jakichś wariactw. I żebym gdzieś na końcu, moralnie przede wszystkim, nie przywalił głową w błoto. O to bardzo proszę. Amen.

14.

Blask wolności

Wszystko utrudnia to, że jesteśmy mistrzami świata
w oszukiwaniu własnego sumienia.

Drodzy państwo!

Zobaczyliśmy w pierwszym czytaniu idealny Kościół. Kościół samych apostołów, w którym wszyscy mieli do siebie zaufanie. „Tchnął na nich i powiedział im: »Weźmijcie Ducha Świętego! Którym odpuscicie grzechy, są im odpuszczone, a którym zatrzymacie, są im zatrzymane«”. Ale nie możemy żyć w ułudzie, że Kościół jest idealny. Nie chcę powiedzieć, że przez wieki się zdegradował, ale nie wiem, czy mielibyśmy takie zaufanie do apostołów naszych czasów, żeby sprzedać swój majątek i dać im. Zastanawiam się, czy miałbym tyle zaufania do naszych duchowych przywódców... Wcale nie chcę wskazywać ich błędów, ale uświadomić, że coś się między nami zmieniło, coś się zadziało. Dziś w wyobrażeniu niektórych z nas Kościół stał się paskudną, opresyjną instytucją, która wciąż czegoś zakazuje albo coś nakazuje, która nas zmusza, każe i narzuca drogę. Nic bardziej błędnego. Największym darem w Kościele jest wolność. „Ku wolności wyswobodził nas Chrystus”. Oczywiście, niektórzy by się ucieszyli, gdybym powiedział: „W tym szczególnym czasie pochyłmy się nad tajemnicą wolności z głęboką troską i jeszcze się wzajemnie ubogaćmy”. Nie, nie zrobię tego. Nigdy. Bo nie chodzi o lanie wody, ale o konkrety.

Jak odkryć dar wolności w Kościele? Zachwycić się blaskiem wolności, o którym pisze o. Ludwik Wiśniewski w niedawno wydanym dziełku dołączonym do „Tygodnika Powszechnego”? Jak nie czuć się więźniem nakazów i zakazów? Odkryć wartość sumienia? Jak nie przestraszyć się swojej wolności i jej ciężaru?

Dobrze wiemy, że w katolicyzmie najwyższą normą moralności jest sumienie, którego głosu lekceważyć nie wolno. Ktoś mi zarzuci libertynizm. Po podobnym kazaniu przybiegła do mnie pewna pani i powiedziała: „Co nas obchodzi jakiś ojciec Wiśniewski? My nie chcemy wolności!”. Zdarzają się i tacy pomiędzy nami, którzy nie są w stanie udźwignąć daru wolności – i to jest smutne. Ale jak z niego dobrze korzystać? Najprościej: odczytywać go na poziomie prawa naturalnego, czyli: dobro czyn, zła unikaj. Wszyscy mamy wszczepiony, poprzez godność ludzką, dar rozeznawania pomiędzy dobrem a złem. Nawet wtedy, kiedy błądzimy w sposób obiektywny, słyszymy w sobie (choć czasem zagłuszamy) imperatyw, który nam podpowiada: to czyn, a tego zaniechaj.

Sumienie, które mnie fascynuje, to jedyny głos, który nas potrafi w sposób obiektywny skrytykować. Z jednej strony trochę się go lękamy – jak Herod Jana. A z drugiej – wierzymy mu, wiemy, że nie kłamie. Wszystko

utrudnia to, że jesteśmy mistrzami świata w oszukiwaniu własnego sumienia. Wiem po sobie. Sumienie nam coś mówi i choć wiemy, że to jest prawda, przykładamy to tysiącem argumentów, by go nie usłyszeć. Gdy już stworzymy mnóstwo teorii, dlaczego ono musi się mylić, i postąpimy wbrew niemu, słyszymy w sobie trzask.

Musimy w bardzo uczciwy sposób odróżnić Kościół apostolski, święty, matkę naszą rzymską przez duże „K”, od struktur, które są kościołem przez małe „k”, i mocno wierzyć, że i przez nie, chociaż z trudem, przedziera się Duch Święty. Bo wszyscy, świeccy i duchowni, Mu w tym koncertowo przeszkadzamy. Trzeba patrzeć we własne sumienie i zawsze go słuchać. Nie czuć się uwięzionym przez tzw. normy zewnętrzne. Być bardzo uważnym, wnikliwym.

Kiedy moje sumienie sprzeciwia się normie obiektywnej, jaką jest dla mnie Ewangelia i nauka Kościoła, to jestem na tyle ostrożny, że raczej wolę słuchać Ewangelii i nauki Kościoła (w tej kolejności) niż własnego sumienia. Co nie znaczy, że nie mam prawa do pewnych prawd dorastać. O tym mówił chociażby papież Benedykt XVI, kiedy roztrząsał kwestię dopuszczalności użycia prezerwatywy w pandemii AIDS w Afryce. On miał w tej kwestii większą odwagę niż Jan Paweł II. Powiedział: może w tej sytuacji to będzie pierwszy krok do uczłowieczenia stosunków seksualnych i uzdrowienia tych relacji.

Często żądamy od naszych współbraci inaczej myślących i inaczej wierzących, żeby byli od razu idealni, just like that, zwłaszcza w sprawach dotyczących doktryny seksualnej. Nie pozwalamy im dorastać, coraz lepiej rozumieć pewnych prawd. W innych sprawach jesteśmy już mniej kategoryczni. Jak zauważa krakowski biskup pomocniczy Grzegorz Ryś, nie jesteśmy już tak zasadniczy wtedy, gdy kupujemy tanie ubranie wykonane przez kogoś pracującego niewolniczo gdzieś na krańcach świata.

Konkludując: gdy nauczymy się postrzegać Ewangelię i wypływającą z niej naukę Kościoła jako światło wolności, wszystko się uprości. To tylko światło i aż światło. Blask, który oświecila sumienie. Jest jak dwa reflektory – silne, lecz nie oślepiające. Bo gdyby nas oślepiły, to bylibyśmy bezwolni, a zatem nie ponosilibyśmy konsekwencji.

Kiedy idziemy do spowiedzi, to musimy na dnie sumienia rozważyć, które grzechy wyznajemy, które uznajemy za ciężkie, które za lekkie. Nikt tego za nas nie robi. To jest ta uprawniona i upragniona wolność. Dopiero niedawno, po kilkunastu latach bycia księdzem, zrozumiałem, że nie jestem

w Kościele do niczego zmuszony. Nic nie muszę. Po prostu chcę. Św. Augustyn mówił: „Kochaj i rób co chcesz”. Św. Tomasz potem dopowiedział, że najpierw rozum musi poznać przedmiot, którego pragnie, a gdy go rzeczywiście pozna i oceni, to rozum i sumienie mają obowiązek za nim podążyć. To znaczy, że musimy być uważnymi obserwatorami, by odróżniać prawdziwe chcenie przez duże „CH” (mam dysleksję, dysgrafię i wszystko, co możliwe, ale wiem, że „chcę” pisze się przez „ch”) od tego, czego nam się zachciewa, co jest wynikiem naszych fanaberii. Wtedy naprawdę czujemy, że wolność jest czymś fundamentalnym, kiedy – po kościelnemu mówiąc – rozeznamy sprawy. Ja bym powiedział po młodzieżowemu: rozkminiłem, co jest dobre. Ta rozkminka ma dla mnie walor naukowości. To jest wniknięcie w samo sedno problemu. Rozważenie go na wszelkie możliwe sposoby, bo – jak wiadomo – w wątpliwościach działać nie wolno. Czyli rozkminiam, a jeżeli uzyskam tzw. pewność moralną, to działam. Oczywiście ma znaczenie, jak to się ma do normy obiektywnej, ale odpowiedzialność za każdą decyzję zostanie we mnie. Tam w środku są zapisane wszystkie motywacje.

Jak dzisiaj państwo będą chcieli przystąpić do stołu Pańskiego, do komunii świętej, przyjąć prawdziwe Ciało Chrystusa, to przedtem będziecie musieli zastanowić się (zresztą tak jak i ja), rozstrzygnąć, czy robicie to w sposób godny, czy nie. Mam nadzieję, że tak, bo Wielkanoc dopiero minęła.

Bądźmy optymistami. Ufajmy Bożemu miłosierdziu. Ale nie rozszerzajmy własnych sumień, ufając zuchwale. I bądźmy pewni, że jeżeli dochowamy staranności, włożymy intelektualny i duchowy wysiłek, by wszystkie swoje problemy rozkminić, będziemy uczciwie podchodzić do rozmaitych problemów, które stawia nam życie, to – tak myślę, w to wierzę – Pan Bóg w swoim nieskończonym miłosierdziu właśnie ten wysiłek doszukiwania się prawdy w wolności będzie oceniał. Amen.

15.

Cud pełzający

Mistyki należy szukać w prozie dnia codziennego.
Pan Bóg jest bardzo delikatny, trzeba go czytać uważnie.

Ewangelia według św. Marka 5, 21-43

Gdy Jezus przepłynął się z powrotem w łodzi na drugi brzeg, zebrał się wielki tłum wokół Niego, a On był jeszcze nad jeziorem. Wtedy przyszedł jeden z przełożonych synagogi, imieniem Jair. Gdy Go ujrzał, upadł Mu do nóg i prosił usilnie: „Moja córeczka dogorywa, przyjdź i połóż na nią ręce, aby ocalała i żyła”. Poszedł więc z nim, a wielki tłum szedł za Nim i zewsząd Go ściskali.

A pewna kobieta od dwunastu lat cierpiała na upływ krwi. Wiele przecierpiała od różnych lekarzy i całe swe mienie wydała, a nic jej nie pomogło, lecz miała się jeszcze gorzej. Słyszała ona o Jezusie, więc przysłała od tyłu, między tłumem, i dotknęła się Jego płaszcz. Mówiła bowiem: „Żebym się choć Jego płaszcz dotknęła, a będę zdrowa”. Zaraz też ustał jej krwotok i poczuła w ciele, że jest uzdrowiona z dolegliwości.

A Jezus natychmiast uświadomił sobie, że moc wyszła od Niego. Obrócił się w tłumie i zapytał: „Kto się dotknął mojego płaszcz?” Odpowiedzieli Mu uczniowie: „Widzisz, że tłum zewsząd Cię ściska, a pytasz: Kto się Mnie dotknął?” On jednak rozglądał się, by ujrzeć tę, która to uczyniła. Wtedy kobieta przysłała zalekniona i drżąca, gdyż wiedziała, co się z nią stało, upadła przed Nim i wyznała Mu całą prawdę. On zaś rzekł do niej: „Córko, twoja wiara cię ocaliła, idź w pokoju i bądź uzdrowiona ze swej dolegliwości”.

Gdy On jeszcze mówił, przyszli ludzie od przełożonego synagogi i donieśli: „Twoja córka umarła, czemu jeszcze trudzisz Nauczyciela?” Lecz Jezus słysząc, co mówiono, rzekł przełożonemu synagogi: „Nie bój się, wierz tylko”. I nie pozwolił nikomu iść z sobą z wyjątkiem Piotra, Jakuba i Jana, brata Jakubowego.

Tak przyszedł do domu przełożonego synagogi. Wobec zamieszania, płaczu i głośnego zawodzenia, wszedł i rzekł do nich: „Czemu robicie zgiełk i płaczecie? Dziecko nie umarło, tylko śpi”. I wyśmiewali Go.

Lecz On odsunął wszystkich, wziął z sobą tylko ojca, matkę dziecka oraz tych, którzy z Nim byli, i wszedł tam, gdzie dziecko leżało. Ująwszy dziewczynkę za rękę, rzekł do niej: „Talitha kum”, to znaczy: „Dziewczynko, mówię ci, wstań”. Dziewczynka natychmiast wstała i chodziła, miała bowiem dwanaście lat. I osłupieli wprost ze zdumienia. Przykazał im też z naciskiem, żeby nikt o tym nie wiedział, i polecił, aby jej dano jeść.

Kochani!

Niezwykle ciekawe jest to przeciwstawienie dwóch cudów w dzisiejszej Ewangelii. Pierwszy jest delikatny, właściwie przechodzi niezauważony. Wiedziała o nim tylko uzdrowiona z krwotoku kobieta i Chrystus. A drugi – wskrzeszenie córki Jaira – jest spektakularny. Często domagamy się od Boga takich spektakularnych cudów. Zastanówmy się nad nimi. Wiele osób napiera na mnie, mówiąc: „Proszę księdza, proszę koniecznie jeździć na Msze Święte z modlitwą o uzdrowienie”. To miałyby spowodować uzdrowienie tej mojej czachy przeżartej przez glejaka. A ja z zasady nie jeżdżę, ponieważ nie chcę Pana Boga do niczego zmuszać. Ilekroć uczestniczyłem (jako spowiednik) w takich mszach, to one mi przypominały seanse nakręcania emocjonalnego.

Gdybym chciał państwem manipulować, to nagnałbym do kościoła mnóstwo chorych ludzi i powiedział: „Zamknijcie oczy. Jest wśród was osoba chora na kręgosłup [statystycznie by się znalazła]. Teraz czujesz ciepło [ktoś by poczuł ciepło], itd.”. Takie działania mogą być manipulacją. Nie przeczę, że w Kościele działają charyzmaty uzdrawiania, prorokowania, przemawiania. Ale, na litość Boską, nie na zawołanie, we wspólnocie x, y czy z.

O wiele bliższa jest mi postawa tej kobiety, która dotknęła frędzli płaszcza Chrystusa. Bo ją uzdrowiła jej wiara – Jezus jej to powiedział. I chyba o to chodzi w chorowaniu. Powołałam się na własne doświadczenie. Na początku choroby popełniłem pewien błąd, ale przecież też mam prawo się rozwijać i dojrzywać jako ksiądz. Mówiłem: „Panie Boże, jestem otwarty na cud”, ale nie do końca w ten cud wierzyłem. Pewnego dnia zrozumiałem na nowo fragment Ewangelii: „Proście, a będzie wam dane; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a otworzą wam”. Wtedy uznałem, że jestem bezczelny, jedynie deklarując otwartość. Zacząłem więc kołatać, prosić. Ale przysięgam – bez przywiązania do efektu. Co to oznacza? Że mam nadzieję, ale wyrobiłem w sobie taką przestrzeń wolności, że nie będę zawiedziony, jeśli cud się nie dokona albo jeśli dokona się zupełnie inaczej, niżbym sobie wyobrażał.

Miałem dwa momenty w życiu, kiedy musiałem z wielkim wysiłkiem intelektualnym i duchowym powiedzieć: „Panie Boże, całkowicie zgadzam się z panowaniem Twojej woli”. Pierwszy: gdy nie chciano mnie wyświęcić na księdza i decyzja o tym wisiała na włosku. Klęczę w kaplicy w seminarium przed Najświętszym Sakramentem, na górze ważą się moje losy, wielcy tego świata dyskutują – święcić czy nie święcić, będzie ośmieszeniem

kapłaństwa czy nie? A ja wpatrzony w Najświętszy Sakrament, przekonany na poziomie pewności moralnej, że jestem powołany... Pewność moralna to jest coś innego niż pewność scjentystyczna, że mogę, na przykład, tej chłodnej ambony dotknąć. Pewność moralną wyrabiamy sobie w serduchu, w sumieniu. Jesteśmy przeświadczeni, że to jest nasza droga. Kiedy mnie wyświęcili, taką pewność miałem. Teraz, dzięki Bogu, nadal ją mam. Cały czas to bycie księdzem jest dla mnie sednem życia. Ale wracając do głównego wątku: wtedy wpatrując się w Chrystusa w Eucharystii, smuciłem się i mówiłem: „Panie Boże, nie mam wpływu na to, co wymyślą, całkowicie poddaję się panowaniu Twojej woli”. Wiedziałem, że jeżeli mnie nie wyświęcą, to nie założę swojego Kościoła, nie obrażę się, nie będę tupał na Boga.

Druga próba przyszła, gdy dowiedziałem się o którejś tam wznowie. Bo w tej chorobie jest tak: raz lepiej, raz gorzej, potem jest wznowa, potem trochę remisji, jakieś działania medyczne. Kiedy jesienią zeszłego roku zdiagnozowano u mnie kolejną wznowę, byłem smutny, ale się jakoś potwornie nie załamiałem. Pamięta się każdy moment po usłyszeniu takiej informacji. Wsiadam w Krakowie do jakiejś śmierdzącej taksówki i myślę: „Całkowicie zgadzam się z panowaniem Twojej woli. Wszystko jedno, czy to życie będzie trwało trzy, cztery miesiące czy pół roku”. Trwa dłużej, niż wtedy sądziłem.

Tamtego dnia, po usłyszeniu niepomysłnej wiadomości, wszedłem pod prysznic i w radiu usłyszałem piosenkę zespołu Raz Dwa Trzy: „I żyłem tak, jak chciałem żyć. I byłem tym, kim chciałem być”. Dla mnie to była delikatna odpowiedź Pana Boga na tę moją modlitwę, że poddaję się Jego panowaniu. On mi odpowiedział przez radio. Możecie powiedzieć, że wariat ze mnie, ale tak to odczytuję. Mistyki należy szukać w prozie dnia codziennego. Pan Bóg jest bardzo delikatny, trzeba go czytać uważnie.

To, co się dzieje w tej mojej bańce, w mojej głowie, uważam za cud pełzający. Dokładnie taki, jakiego doświadczyła kobieta uleczona przez Chrystusa z krwotoku. Można powiedzieć, że pełzniemy sobie we trójkę: Pan Bóg, gļejak i ja. I oby jak najdalej. Cieszę się z tego pełzającego cudu. Dlaczego? Ponieważ gdyby Pan Bóg potrzebował cudu spektakularnego dla zbawienia mojego, innych ludzi lub – jak to się ładnie w dawnym języku mówiło – ku pożytkowi Kościoła świętego, to On by go dokonał. Widać taki spektakularny cud jest Mu niepotrzebny na razie. Może jutro się obudzę i okaże się, że jestem wolny od choroby. Bardzo się ucieszę. Ale Pan Bóg

działa poprzez naturę, stworzył ją i bardzo rzadko łamie jej prawa. Może uda się tak spokojnie, normalnie, medycznie wyzdrowieć? A może nie? To już Jego wola.

Najważniejsze już się dokonało – dostrzegłem, że wraz z chorobą nic się nie skończyło, a wiele rzeczy się zaczęło. To, co najpiękniejsze, to, co cudowne, dzieje się bardzo intymnie. Uświadamia to uzdrowienie kobiety z krwotoku, o którym wiedziała tylko ona i Chrystus.

Być może to, że zostałem księdzem, że ileś lat pracowałem w szkole, że zrobiłem doktorat i specjalizację z bioetyki, nawet to, że wybudowałem hospicjum i że je prowadzę, nie było tak istotne jak to, że zachorowałem. „Moc w słabości się doskonali”. Skoro św. Paweł w swojej słabości zobaczył wartość, to może ja wtedy, kiedy będę już nieprzytomny, będę w stanie otworzyć innych na jakiś ważny wymiar? Może moja bezbronność, której do tej pory tak się bałem, okaże się pięknem, które będę mógł innym ofiarować? Może ktoś będzie miał szansę uszanować we mnie, nieprzytomnym księdzu Janie Kaczkowskim, bo tak się przeważnie kończy głejak, człowieczeństwo? I otworzę go w ten sposób na dobro. Będzie mógł też w swojej wolności tym moim człowieczeństwem pogardzić. Wolna wola. To jest jedna z moich lekcji dojrzewania.

Pochwaliłem się rozwojem duchowym, a teraz chciałbym państwa zachęcić do życia na pełnej petardzie. W każdym wymiarze. Żebyście się nie załamywali, czerpali z tego życia obficie. W liście Pawłowym mamy fragment: „Nie o to bowiem idzie, aby sprawić ulgę innym, a sobie udręczenie, lecz aby była równość. Nie miał za wiele ten, kto miał dużo. I nie miał za mało ten, który miał niewiele”. Co to oznacza? Że kiedy służymy naszym braciom, nie powinniśmy być cierpiętnikami, ze skwaszoną miną. Wymieniamy się dobrami – finansowymi i duchowymi.

„Teraz zatem niech wasz dostatek przyjdzie z pomocą potrzebom innych, aby ich bogactwo było wam pomocne w waszych niedostatkach”. Chodzi o to, by w życiu była pewna równowaga, pewien balans. Żebyśmy nie wpadali z jednej strony w jakąś potworną rozpacz, kiedy coś jest przeciwko nam, ani w euforię, kiedy nam się wszystko udaje. Bo może przyjdzie taki moment, że w ciągu chwili to się zmieni.

Mimo różnych przeciwności powinniśmy życzliwie żyć dla innych. To szczęście, które w nas bywa, musi promieniować na zewnątrz. Nie dajmy się zmaltretować kłopotom.

Tych smutnych z was zapytam: dlaczego to nie może być taka zwykła

niedziela, w którą postanowicie, że wasze życie się zmieni? Może to dzisiaj powinienem wystartować na nowo. Uwierzyć w siebie, swoje możliwości.

Kilka razy w życiu miałem momenty delikatnego dotknięcia łaski. Raz w seminarium wchodzę do pustej katedry oliwskiej, klękam gdzieś z boku przy tabernakulum i nagle, nie wiadomo dlaczego, czuję ogromny przyływ bliskości z Panem Bogiem. Pamiętam, że to był zwykły wtorek, najzwyklejszy. Czasem do tego doświadczenia wracam, zwłaszcza kiedy odprawiam Mszę Świętą codzienną. Pytam siebie: dlaczego akurat ten wtorek, dlaczego akurat to niedzielne popołudnie nie jest tym momentem przełomowym? Może się umówmy z naszym życiem, przecież jesteśmy sprawczy, że dzisiejszy dzień to życie zmieni. I to w pozytywnym sensie.

Nie męczmy się nawzajem skrzywionymi minami, korzystajmy z tego, co daje świat. Bierzymy teraz udział w kulcie Bożym, a z tego, co wiem, wieczorem będzie koncert zespołu Kult. Jedno z drugim można idealnie połączyć. Cieszymy się tym, co nam Pan Bóg daje. Bądźmy dla siebie dobrzy. Nie martwmy się, kiedy mamy za dużo, ale też nie martwmy się, kiedy mamy za mało. Bądźmy otwarci na wymianę. Czasem może być tak, że kiedy mamy więcej pieniędzy, podzielimy się z kimś. Nie jesteśmy do tego zobowiązani, ale mamy takie moralne przynaglenie. Wtedy ci, którzy są w gorszej sytuacji finansowej, ale na przykład mają więcej duchowo, kiedy będziemy potrzebować, w ramach wyrównania, nam to oddadzą.

I tak jak mówiło to drugie czytanie: nie o to chodzi, żeby pomagać innym i żyć w utrapieniu, w nieustannej męce, ale żeby być dla innych z radością. Proszę ucieszyć się z tego, co jest dobre w waszych rodzinach: z miłości, bliskości. A jeżeli jest coś złego, to spróbujcie to zmienić już dzisiaj, nie czekając na jutro.

Tak bardzo bym chciał się starzeć pogodnie, jeżeli to mi będzie w ogóle dane. Chciałbym się starzeć na takiego dobrego ojca, ciepłego dziadka. Chciałbym, żeby takie było moje może nie dziadostwo duchowe, ale ojcostwo duchowe. Żeby innych przyciągał do siebie.

Widzę tam, zdaje się, siostry zakonne, w większej grupie. Zatem, drogie siostry, tak bym chciał, żebyście były duchowymi matkami, żebyście się nie bały swojego macierzyństwa. No bo my możemy się starzeć jako księża na starych, zgryźliwych kawalerów, do których się nie da podejść, skupiających się na tym kubku, który jak zostanie przez kogoś ruszony, to nastąpi koniec świata. Ale możemy się starzeć na ojców. I, drogie siostry, przy całym szacunku dla waszego powołania, chciałbym, żebyście pracowały nad sobą.

Żebyście się stawały matkami, takimi ciepłymi babciami w duchowym sensie. Wiem, że w związku z byciem kobietą jest to dla was trudniejsze na poziomie nawet biologicznym, ale jest możliwe. Bo przecież to jest odpychające, gdy spotykamy osobę zakonną, która zachowuje się jak stara, zgryźliwa ciotka. Pilnujcie siebie we wspólnotach, abyście po prostu, kochane, nie zgorzkniały.

„Bóg nie uczynił śmierci i nie cieszy się ze zguby żyjących. Stworzył bowiem wszystko po to, aby było, i byty tego świata niosą zdrowie”, czyli żeby to wszystko, co mamy wokół siebie, przynosiło nam radość. To, co nam się w życiu przydarza: piękna przyroda, wspaniała pogoda, miłość między nami – jest przez Boga zamierzone i chciane. Ceńmy to, co mamy. Pan Bóg w dzisiejszym czytaniu mówi: obfitujcie we wszystko, w wiarę, w mowę, w gorliwość, w miłość.

Choroba nie zwalnia z pogody ducha. Przysięgam, że nie zmuszam się do bycia uśmiechniętym. Bo bardzo lubię ludzi. Nie chciałbym, żeby wchodzili do mojej zakrystii na ugiętych nogach, a wychodzili, mówiąc: „Uff, ludzki pan. Tylko ochrzanił, a mógł zabić”. Tak wybiórczo słuchamy papieża Franciszka, a on apeluje: „przewietrzcie wasze duszne zakrystie”. Czasem w Polsce bywają takie miejsca, gdzie ludzie się boją swoich duszpasterzy. Nie bójcie się, wymagajcie od nich.

Teraz przejdę do podtytułu książki „Życie na pełnej petardzie”, którą możecie dziś nabyć. A brzmi on: „wiara, polędwica i miłość”. Co za obrazurca. Chciałoby się powiedzieć: Kaczkowski, znowu prowokujesz. Zamieniasz piękną teologalną cnotę nadziei na jakiś obrzydliwy kawał mięsa. Jak każdy teolog dorobię do tego natychmiast teologię. Otóż wiara skończy się, kiedy stanie się wiedzą. Miłość zawsze pozostanie tą największą, w której zjednoczymy się z Panem Bogiem. I będzie trwała zawsze, jak mówi św. Paweł. Nadzieja, kiedy się spełni, przestanie być potrzebna. A teraz powiem trochę o polędwicy. Może nie wyglądam, ale jestem smakoszem. W rozmaitych smakach możemy czuć Pana Boga. Kawałek porządnej polędwicy wołowej, ucięty zgodnie z włóknami, wrzucamy na bardzo rozgrzaną patelnię, do tego sos serowy rocquefort albo pieprzowy, jak ktoś woli, to może też masło czosnkowe. Ta polędwica powinna być taka medium red, czyli półkrwista w kierunku krwista. Powiecie: ohyda. Nic podobnego. To jest pyszne! Kroimy kawałeczek, łączymy z sosikiem, bierzemy do ust, mamy do tego czerwone, wytrawne wino, takie Rioja. Nie pijemy go oczywiście duszkiem, ale pomalutku. Wtedy czujemy ambroję. Ja mam

wtedy odloty mistyczne. Jestem przekonany, że Pan Bóg istnieje, skoro dał nam takie możliwości patrzenia na przyrodę, poznawania smaków i doświadczania piękna. Cieszymy się dzisiejszym dniem. Amen.

16. **Przypadek nie przypadkiem**

Musimy być cierpliwi. Wsłuchiwać się w swoje życie.
I dawać sobie szansę.

Moi kochani!

W Starym Testamencie ilekroć spotykamy anioła, nie jest to anioł w rozumieniu – posłaniec. Pod jego postacią często ukrywa się Pan Bóg. Błagając o coś anioła, starotestamentalni Żydzi błagali samego Boga.

Czasem w niebezpieczeństwie Stwórcy musi nas wyciągnąć za rękę z zagrożenia, które często sami sobie zafundowaliśmy. On nigdy nie łamie wolnej woli człowieka, ale potrafi ją przynaglić – robiąc tzw. przypadki.

Dzisiejsze czytanie dotyczyło Lota i jego żony. W tym symbolicznym obrazie biblijnym Bóg, ostrzegając ich, żeby się nie odwracali w stronę Sodomy, nie odebrał im możliwości skreślenia głowy. Małżonka Lota była w pełni wolna. Odwróciła się i poniosła tego konsekwencje.

Z Bogiem można, a może nawet należy, wchodzić w dialog, w spór. Pan Bóg chce nas słuchać. Jeżeli jesteśmy w coś zaangażowani, to jeśli zmieścimy się w Jego logice, On nam odpowie. Dlatego nie bójmy się Go prosić, nie bójmy się kołatać, ale też nie bądźmy przywiązani do efektów.

Pan Bóg stwarza dla każdego z nas anioła po to, żeby nas chronił. To nie jest dziecinna bajka. To dogmat wiary. Gdy idziemy do nieba, Anioł Stróż raduje się razem z nami. A jeśli do piekła? Nie róbmy mu tego.

Kiedy myślę o swoim Aniele Stróży, to wydaje mi się, że on już chyba sobie wszystkie pióra wyrwał, jak patrzy na to, co wyrabiam. Zwracajmy się do naszego opiekuna, przyjaźnijmy się z nim. Może warto czasem prosić, by skontaktował się z Aniołem Stróżem osoby, z którą chcielibyśmy się dogadać? Jeżeli nam trudno, to niech oni zrobią to na anielskim poziomie.

W zeszłą niedzielę czytaliśmy Ewangelię św. Marka. O tym, że Jezus cały dzień nauczał, a uczniowie nie dali mu po tym odpocząć. Musiał być potwornie zmęczony, skoro zasnął na tyle łodzi i burza Go nie zbudziła. Zrobili to dopiero uczniowie: „Panie, nic Cię nie obchodzi, że giniemy?”. A On z przyganą pyta: „Czemu bojaźliwi jesteście?”.

Zwróćcie uwagę, że proces dojrzewania do wiary u uczniów Pańskich jest rozciągnięty w czasie. Byli egoistami. Nie do końca wierzyli, że Jezus jest Zbawicielem. Nie byli natychmiast świadomi, że mają do czynienia z Bogiem, bo być może ta wiedza by ich przygniotła. Początkowo uważali go za nauczyciela, potem za rabiego. Tylko niektórzy mieli za Jego życia przywilej wyznania: „Wierzę, że jesteś Synem Bożym”.

My też dajmy sobie prawo do dojrzewania. Nie miejmy sobie za złe, że nie rozumiemy rozmaitych tzw. przypadków czy jakichś naszych życiowych wpadek. Tych dużych wpadek powinniśmy unikać. Ale tego, na co do końca

nie mamy wpływu, nie musimy rozumieć. Dajmy sobie czas, nie frustrujmy się. Musimy być cierpliwi. Wsłuchiwać się w swoje życie. I dawać sobie szansę. Amen.

17.

Cierpliwość wobec Boga

Dzisiaj, w taką zwykłą niedzielę, która nie zapowiada żadnego przełomu, powiedzmy sobie: spróbuję na nowo.

Drodzy państwo!

„Gdyby was gdzieś nie chciano przyjąć i nie chciano słuchać słów waszych, wychodząc z takiego domu albo miasta, strząśnijcie proch z nóg waszych!”. Gdybyśmy przeczytali ten fragment w wersji św. Mateusza, to byłoby jeszcze ostrzej: że tym ludziom, którzy nie przyjęli Ewangelii, w dniu sądu ostatecznego będzie ciężej niż Sodomie i Gomorze.

Zwróćcie uwagę na fragment „strząśnijcie proch z nóg waszych”. Zaraz po nim pojawi się przestroga przed ferowaniem wyroków. Czy aby nam się nie wydaje, że zawsze mamy rację? Tym naszym braciom, którzy błędzą, są niewierzący albo wierzą inaczej, już dzisiaj mamy ochotę urządzić sąd, piekło. Palimy się, by drugiemu wytknąć: jesteś zły, nie słuchasz Ewangelii, już przegrałeś. Zastąpię Pana Boga i ci przyłożę. Tak nie wolno. Nie tędy droga. Nie potępiajmy. Wierzmy w drugiego człowieka. I w sprawiedliwość Bożą. „Ziemi sodomskiej i gomorejskiej lżej będzie w dzień sądu niż temu miastu”. Ale to nie do nas należy sąd.

Nie mamy wglądu we wszystkie motywacje, w to, co się dzieje w sumieniach innych. Tylko Bóg zna kontekst życia poszczególnych osób. Musimy się strzec, by nie siec drugiego człowieka nienawiścią, nawet tego, który obiektywnie źle postępuje.

Błędem jest patrzeć na Kościół jako na obleżoną twierdzę. Bo wiadomo, jaka to jest optyka: wszyscy atakują, a my jesteśmy święci, nieskalani, jedyni prawomyślni. To nieprawda.

Smutni są nieżyczliwi chrześcijanie. Którzy gdy widzą inaczej myślących, zgrzytają zębami, bo zawsze wiedzą od nich lepiej, co jest słuszne. Nie zadają sobie wysiłku, żeby wejść w relację z drugim człowiekiem.

Często się zdarza, że po moim kazaniu na końcu kolejki pod kościołem stanie jakiś nienawistnik, który sobie zadał trud, by tam stać i czekać, jedynie po to, żeby mi dołożyć. Nie chce wejść w dialog. Po jadowitej przemowie powie z wyższością: „Szczęść Boże” albo „Z Bogiem”.

Jestem bardzo zauroczony nieżyjącym ks. Tischnerem. W czasie kazania powiedziałem jedynie, że on wyprzedził swoje czasy o trzy długości. Po mszy czekała na mnie jedna pani, która najpierw coś z pogardą syknęła na tego wybitnego filozofa i wspaniałego księdza, który umierał w opinii świętości. A potem pouczyła mnie: „To nie do końca tak było z ks. Tischnerem. On był Żydem”. Nawet gdyby był, to co z tego? Na koniec dodała: „Niech ksiądz zrewiduje te swoje poglądy. Z Bogiem”. Jeżeli ona

wychodzi z Mszy Świętej i nie jest napełniona łaską, radością, to być może w niej nie uczestniczyła.

Błąd polega na tym, że zła szukamy w innych, nie w sobie. Musimy odważnie spojrzeć w siebie i odpowiedzieć sobie na pytanie, co w nas sprzeciwia się godności bycia chrześcijaninem.

Podobnie jak ksiądz Tomáš Halík uważam, że trzeba być cierpliwym wobec Pana Boga. Nie można być talibem, przeginać ani w jedną, ani w drugą stronę, popadać w skrajności – albo kogoś gloryfikować, albo potępiać. Halík zauważa, że niecierpliwi wobec Stwórcy byli ci, którzy zbyt szybko, bez wątpliwości, powiedzieli sobie, że Pan Bóg na pewno istnieje. Tacy ludzie, wbrew pozorom, są groźni, bo czasem myślą wiarę z ideologią. W imię wiary, którą będą traktowali jak ideologię, mogą być nieznośni i okropni dla innych, chcieć meblować komuś życie, na myślących inaczej patrzeć z nienawiścią. Zawsze, kiedy religię mylimy z ideologią, to ona przeradza się we własną karykaturę. Wtedy w imię religii dokonuje się zbrodni.

Bywają też ludzie, którzy zbyt szybko powiedzieli sobie, że Boga na pewno nie ma. To są zajadli ateści, którzy nie mieli tyle cierpliwości wobec Pana Boga, wobec siebie, wobec własnego sumienia i z ateizmu zrobili ideologię. Jedna i druga postawa nie jest w porządku.

Gdybyśmy chcieli być uczciwi tak naprawdę wobec Boga w naszym sumieniu, to musielibyśmy przyznać, że istnieje taka przestrzeń w moim i twoim sercu, która jest grzeszna, a której nie chcę ruszyć. Taki grzech, który w sobie pieścimy, albo udajemy, że nie jest grzechem. Lekceważymy go. Odwaga polega na tym, żeby się przed sobą przyznać, jaka dziedzina życia jest przede mną niechętnie dotykana. Z których, nie do końca dobrych, przywiązań nie potrafię zrezygnować, bo wrosły w moje życie. To może być jakiś mały grzech, na przykład to, że lubię się obżerać polędwicą albo że mam głupawy zwyczaj palenia wieczorem jednej fajeczki. Ktoś powie, że to nic groźnego, drobiazg, jedynie słabość, ale jeżeli hołdujemy takiej niby niewinnej słabości i mamy w sobie całą kolekcję tego typu grzechów lekkich, to może się zdarzyć, że kiedyś o te grzechy lekkie się potkniemy i (lubię tę frazę) wpadniemy gębą w moralne błoto.

Proszę zauważyć, co dzisiaj mówiła kolekta – ta modlitwa, którą celebrians odśpiewał. „Panie Boże, spraw, by ci, którzy uważają się za chrześcijan, za katolików, odrzucili wszystko, co się sprzeciwia tej godności, a zabiegali o to, co jest z nią zgodne”. Dlatego może dzisiaj, w taką zwykłą niedzielę, która nie zapowiada żadnego przełomu, powiedzmy sobie:

spróbuję na nowo, od dzisiaj będę się starał zerwać nawet z najmniejszym złem, które we mnie jest. Może nie ze wszystkim od razu, ale przynajmniej wybiorę sobie coś, co mnie najbardziej uwiera, na przykład banalne kłamstwa, które się pojawiają tylko po to, żeby wzmocnić moją pozycję w oczach innych. Albo głupie obmowy, beznadziejne przekleństwa czy zbyt szybkie wydawanie sądów o innych. Przyznaję, mam z tym problem. Zapędzam się czasem i zachowuję jak idiota.

Zróbmy sobie postanowienie: poszukam takiego zatwardziałego miejsca w moim sercu, nad którym choćby przez tydzień będę pracował. Amen.

18.

Sprawy niezłatwione

Kiedy mówimy o zatwardziałych grzesznikach,
to zawsze sytuujemy ich gdzieś tam, a przecież
zatwardziali grzesznicy to my.

Ewangelia według św. Marka 6, 7-13

Jezus przywołał do siebie Dwunastu i zaczął rozsyłać ich po dwóch. Dał im też władzę nad duchami nieczystymi.

I przykazał im, żeby nic z sobą nie brali na drogę prócz laski: ani chleba, ani torby, ani pieniędzy w trzosie. „Ale idźcie obuci w sandały i nie wdziewajcie dwóch sukien”.

I mówił do nich: „Gdy do jakiego domu wejdziecie, zostańcie tam, aż stamtąd wyjdziecie. Jeśli w jakim miejscu was nie przyjmą i nie będą was słuchać, wychodząc stamtąd strząśnijcie proch z nóg waszych na świadectwo dla nich”.

Oni więc wyszli i wzywali do nawrócenia. Wyrzucali też wiele złych duchów oraz wielu chorych namaszczeni olejem i uzdrawiali.

Moi kochani państwo!

Wyobraźcie sobie na chwilę, że jesteście w sytuacji granicznej, że wasze życie staje w jednym momencie, bo ma miejsce wypadek albo dowiadujecie się, że macie nieuleczalną chorobę. Nie dlatego to mówię, żeby straszyć, ale żeby ewentualnie państwa przygotować na sytuacje graniczne. Jak byśmy sobie z nimi poradzili? Co by się stało priorytetem? Czy są jakieś sprawy, które macie niezakończony? Czy jest ktoś, kogo powinniście przeprosić? Czy są jakieś relacje, które zaniedbaliście? Moi chorzy w hospicjum nie żałują tego, że nie byli na ekskluzywnych wczasach w Tajlandii, ale że nie zawalczyli o swoje relacje, o swoje dzieci, że całe życie byli skłócenii z najbliższymi, że nie przytulali się wystarczająco dużo.

Ja się uwielbiam przytulać. Uczciwie żyję w celibacie, przysięgam. Nie ma nic gorszego niż łajdaczący się ksiądz. Ale bardzo lubię się przytulać. Patrę na waszych duszpasterzy. Lubią się księża przytulać? Ksiądz proboszcz na bank, ksiądz prałat jest lekko zaskoczony, ale myślę, że on z tą swoją otwartością na pewno też, w bardzo odpowiedzialny sposób, lubi się przytulać. Bliskość, ciepło. To jest ważne.

W dzisiejszej Ewangelii Chrystus mówi swoim sługom, by się nie troszczyli o to, co w gruncie rzeczy nieistotne. „Przykazał im, żeby nic z sobą nie brali na drogę prócz laski: ani chleba, ani torby, ani pieniędzy w trzosie. »Ale idźcie obuci w sandały i nie wdziewajcie dwóch sukien«”. To jest też apel do nas. Przecież nie zabezpieczymy się przed wszystkimi nieszczęściami, jakie mogą nas w życiu spotkać, zawczasu o nich myśląc. Jedynym naszym zabezpieczeniem jest zaufanie Panu Bogu. I nie mówię tego gołosłownie, ponieważ pracując w hospicjum, widzę ludzi, którzy są zderzeni, można powiedzieć, że ścianą, którym w jednym momencie cały świat się zawalił.

Też poważnie choruję, ale nie jestem bohaterem. Bohaterami byli ci, którzy mężnie znosili tortury w łagrach, którzy nie wydali gestapo tych, za których byli odpowiedzialni, czy ci, którzy mimo że ubecy ich męczyli w haniebnym sposób, zachowali klasę. Ja jestem tylko chory. Wspominam o tym jedynie po to, by być bardziej wiarygodnym. O sytuacji granicznej nie mówię, bo tak sobie wymyśliłem, tylko dlatego, że zostałem w niej postawiony. Nie chciałbym być księdzem, który się nad sobą użala, który dramatyzuje: „tu mnie zabolalo” albo „zostało mi mało czasu”. No i co z tego? Jeden ksiądz w tę czy inną stronę – świat się naprawdę nie zawali.

Pytanie na dzisiaj: czy mimo kłopotów wymagam od siebie? Czy czuję

się na tyle zgnębiony przez życie, że jestem zgryźliwy? Czy cały czas zwalam na sytuację, na system, na cokolwiek innego tylko po to, żeby od siebie nie wymagać? Bo kiedy mówimy o zatwardziałych grzesznikach, to zawsze sytuujemy ich gdzieś tam, a przecież zatwardziali grzesznicy to my.

Mój tata, który określa się jako osoba niewierząca (nie siedzę w jego sumieniu; on pewnie mnie trochę prowokuje), ma trzeźwe spojrzenie na Kościół. I mówi: gdybyście tak naprawdę wierzyli, że w komunii świętej obecny jest Chrystus, tobyście wszyscy podczas Mszy Świętej uczciwie padali na kolana. To on wymyślił nazwę „katolicy kucani”. Zobaczcie, często bywa tak, że nie chcemy się wyróżniać z tłumu, więc kucamy. Nie wierzymy na tyle, żeby uklęknąć. Boimy się pognieść spodnie albo podrzeć rajstopy, więc stosujemy dygnięcie kościelne. Strasznie głupie. Smutne. Albo jeżeli się żegnamy, to wygląda jak drapanie się po klacie, bo trochę nam głupio. I od tego się zaczyna. Od tych takich najprostszych gestów, od wiary, którą można wyznać gestem. Może tu jest przestrzeń do pracy?

Kiedyś, jeszcze daleko przed chorobą, szedłem do ołtarza, żeby odprawić Mszę Świętą, a byłem wkurzony – zupełnie nie wiem na co, rozgoryczony, sfrustrowany. I przychodzę do ołtarza i mówię sobie: Johny, masz czelność sprawować Najświętszą Ofiarę i nie współcierpieć? Nie ofiarować siebie, nie wymagać od siebie? Chciałbyś być takim pluszowym księdzem, nieprawdziwym? Nie! Chcę od siebie wymagać na tyle, na ile mi Pan Bóg da sił. Dzisiaj bardziej niż kiedyś. Jestem chory, mam mało czasu, dlatego muszę robić rzeczy sensowne i dlatego będę szarpał rzeczywistość, starał się być czytelnym świadkiem.

W wakacje pomieszkuję w Sopocie w moim rodzinnym domu przy Monte Cassino, tam jest pełno turystów. Specjalnie idę trochę pod prąd i zawsze łączę w sutannie. Między innymi po to, by tą sutanną w niemy sposób krzyknąć, że jest inna rzeczywistość. Niech się patrzają jak na malowanego ptaka. Nie mam z tym żadnego problemu. W sutannie, w koloratce piję w jakimś ogródku piwo. Jeśli mam na to ochotę w Pucku, gdzie pracuję, też to robię. Gdybym usiadł po świecku, to byłoby coś dziwnego. Ludzie by się zastanawiali: dlaczego on się chowa? Nie mam nic do ukrycia.

Tak bardzo chciałbym do końca siebie rozdawać. Nawet się kompletnie zniszczyć, kompletnie dla Pana Boga styrać. Dać sobą wytrzeć podłogę.

Muszę się przyznać do błędu, który do niedawna popełniałem. Wciąż powtarzałem, że chcę umrzeć godnie i z klasą. A potem przeczytałem księdza Tischnera, który w czasie choroby (miał nowotwór krtani) na pytanie, jak żyć

i umierać, odpowiedział: „nieważne jak, ważne z Kim”. Chodziło zapewne o relacje z najbliższymi: rodziną, przyjaciółmi, ale także, a może przede wszystkim, o relację z Bogiem, bo to „Kim” w podyktowanej przez Tischnera książce „Jak żyć?” napisane jest dużą literą.

Kryterium przynależności do Boga jest prawość. My, katolicy, wierzymy, że wraz ze śmiercią nie kończy się wszystko. Jeśli naprawdę kochamy, to nie przegramy. Amen.

19. **Darmo dawajcie**

Człowiek jest w stanie przekroczyć siebie.
Zadziwiać swoją szlachetnością.

Kochani!

Wzruszająca historia Józefa sprzedanego przez braci pokazuje, że człowiek ma w sobie pokłady wielkości. On im przebaczył. To znaczy, że człowiek jest w stanie przekroczyć siebie. Zadziwiać swoją szlachetnością.

Te słowa z dzisiejszej Ewangelii trafiły wprost w moje serce: „Darmo otrzymaliście, darmo dawajcie! Nie zdobywajcie złota ani srebra, ani miedzi do swych trzosów. Nie bierzcie na drogę torby ani dwóch sukien, ani sandałów, ani laski! Wart jest bowiem robotnik swej stawy”. Nic tak nie niszczy kapłanów jak forsa. Bóg mi świadkiem, że poprzysięgłem sobie od samego początku mojego kapłaństwa, że nigdy nie podam nikomu żadnej stawki. Nigdy. Amen.

20.

Zaufanie na zmywaku

Zapytajmy o zaufanie w naszym życiu.
Także wtedy, gdy chwilowo nie czujemy Bożej obecności
i wydaje nam się, że możemy polegać tylko na sobie.

Moi kochani!

Patrzymy dziś na Jakuba, który podłożył sobie kamień pod głowę, a potem na tym kamieniu złożył ofiarę. Gdybyśmy wsłuchali się w tego człowieka, to szybko byśmy zauważyli, że potraktował Boga przedmiotowo, zaszantażował Go. Jeżeli Pan Bóg będzie ze mną, będzie mi błogosławił, to i ja łaskawie z Nim będę. Takie było myślenie starotestamentalne: coś za coś.

Ale proszę też zwrócić uwagę na to, że Jakub zaufał Panu Bogu we śnie. Oczywiście mógłbym z tego snu kpić tak, jak kpił Sienkiewicz w „Kryżakach”, pisząc o handlu relikwiami, ale nie będę tego robił. W jego powieści ktoś chciał sprzedać szczebel z drabiny, która się przyśniła Jakubowi. Nie można jednak zapomnieć, że ten człowiek jednak Panu Bogu zaufał. Nie było to zaufanie najwyższego gatunku, ale było.

W tym kontekście chciałbym pokazać inną ważną postać – św. Józefa. Matka Najświętsza miała łatwiej, bo widziała anioła twarzą w twarz. A św. Józefowi anioł trzykrotnie ukazał się we śnie, więc mógł to zlekceważyć. Szczególnie że to, co mówił ten posłaniec, było nielogiczne. Że niby żona Józefa została matką z Ducha Świętego. No kto by w to uwierzył? A on to zrobił. Gdy po jakimś czasie słyszy we śnie: uciekaj do Egiptu – ucieka. Na tym nie koniec. Stając się emigrantem i pracując być może na egipskim zmywaku, po raz kolejny słyszy we śnie polecenie powrotu do ojczyzny, „bo już umarli ci, którzy czyhali na życie Dziecięcia”. Wraca. Czuje się oszukany. W Jerozolimie dalej rządzi Herod – tyle że syn tego, który prześladował Dzieciątka. Józef wcale nie musiał o tym wiedzieć. Mógł mieć pretensje do siebie, że po raz kolejny zaufał irracjonalnemu głosowi podczas mary sennej. Może chwilowo zwątpił w Boga. Zachował się jednak racjonalnie. Przeniósł się z rodziną na północ do Kafarnaum, gdzie władza Heroda nie sięgała. Jak każdy normalny ojciec, nadal wierząc, chciał chronić rodzinę. To jest pretekst, by zapytać o zaufanie w naszym życiu. Także wtedy, gdy chwilowo nie czujemy Bożej obecności i wydaje nam się, że możemy polegać tylko na sobie. Amen.

21.

Walka o lepszą wersję siebie

Można słabo zacząć, a dobrze skończyć.

Kochani!

Gdy patrzemy na postać Mojżesza, cudownie uratowanego z Nilu – z jednej strony, a z drugiej – tego, który zabił Egipcjanina, a mimo to przez Boga był traktowany jako wybrany, to uświadamiamy sobie, że można słabo zacząć, a dobrze skończyć.

Mojżesz miał w sobie pokorę. Pytał: „Kimże ja jestem, żebym szedł do faraona?”. Często tak się zdarza, że Pan Bóg wybiera tych słabych, prostych, niewykształconych. Pokora świętego polega na tym, że pyta: Boże, kim ja jestem, że posyłasz mnie tu czy tam? Takie postawy obserwujemy na kartach Ewangelii. Tak reagowali niemal wszyscy apostołowie (z wyjątkiem Judasza).

Św. Piotr mówił: Mistrzu, nigdy Cię nie opuszczę, pójdę za Tobą na śmierć. Tymczasem spanikował. Zdradził. Ale jak wiemy, stał się filarem Kościoła.

Św. Paweł najpierw pozbawiał chrześcijan życia, a potem nawrócił się, nosił ciężar dawnych win w sobie, i świetnie skończył. To jest dla nas nauka, by się nigdy nie poddawać, nie przestawać walczyć o lepszą wersję siebie.

Słyszeliśmy w dzisiejszej Ewangelii: „Wysławiam Cię, Ojczy, Panie nieba i ziemi, że zakryłeś te rzeczy przed mądrymi i roztroprnymi, a objawiłeś je prostaczkom”. Prostaczkom to nie znaczy prostakom, prymitywom, ale ludziom pokornym. Wcale nie wielkim tego świata. Bo oni na ogół są pyszni, przekonani, że wszystko wiedzą lepiej niż Pan Bóg. Pamiętajmy, że pycha kroczy tuż przed upadkiem.

Gdy ktoś odrywa się od rzeczywistości, odbija mu palma (nie ma znaczenia, czy ta osoba zajmuje się biznesem czy działalnością charytatywną), to należy się spodziewać, że będzie słabo. Dlatego pilnujmy się, żeby nam nie odbiło. Ze mną na czele. Amen.

22.

Unieść swoją wolność

Ostatnio wpadłem na to, jak głębokie jest znaczenie słowa „rekreacja”. Récréation oznacza, że mamy odpocząć po to, żeby na nowo siebie stworzyć. Dopełnić dzieła Pana Boga. Odpoczywamy, żeby się odnowić.

Drodzy państwo!

Proszę wyobrazić sobie apostołów, którzy otrzymali od Chrystusa władzę wypędzania złych duchów, uzdrawiania i czynienia cudów. Byli w ciągłej akcji. Zaaferowani, przejęci, aż rozpaleni, z wypiekami na twarzy, umordowani ciągłą pracą, nie mieli czasu nawet jeść. Jezus bardzo rozsądnie poradził im: wypocznijcie, bo się wypalicie. I dokładnie to samo mówi do nas, bo i państwo, i ja jesteśmy apostołami.

W tym wakacyjnym czasie nie wciągnął was melanz, melanz Monte Cassino [kazanie zostało wygłoszone w parafii garnizonowej pw. św. Jerzego przy ul. Monte Cassino w Sopocie], tylko przyszście do kościoła. Może to nie jest mistrzostwo świata, ale to jest wysiłek. To wasze przyście do kościoła jest świadectwem.

Wszyscy mamy prawo do odpoczynku. Ostatnio wpadłem na to, jak głębokie jest znaczenie słowa „rekreacja”. Récréation oznacza, że mamy odpocząć po to, żeby na nowo siebie stworzyć. Dopełnić dzieła Pana Boga. Odpoczywamy, żeby się odnowić. Również w sensie duchowym. Nie chcę strzelać ponad głowami z jakiejś wielkiej teologii, ale to odnowienie powinno mieć też wymiar najprostsz, najbardziej podstawowy – rodzinny. Trzeba się zatrzymać i powiedzieć sobie, jakie przestrzenie mojego życia zaniedbałem. I nie chodzi o zaniedbanie porządku w mieszkaniu, ale o relacje. Czy zaniedbałem coś, do czego jestem powołany? Czy może nie miałem odwagi szukać swojego powołania? Nie miałem czasu myśleć nad sobą?

Pochodzę stąd, z Sopotu. Mieszkałem zaledwie kilka domów dalej. Zawsze, kiedy siadam tu do konfesjonału i słucham turystów, często wyrwanych z natłoku pracy w korporacji czy gdziekolwiek indziej, widzę wyraźnie, że jedynie w czasie wakacji mają czas i chęć, żeby siebie usłyszeć. Odpoczywajmy, odepnijmy się od naszej codzienności. Na nowo sobie uświadommy, co jest w życiu ważne.

Nawet jeśli coś na pewnym etapie zawaliliście, ale macie tego świadomość, to Bogu dzięki. To znaczy, że się nie odkleiliście od samych siebie.

Dzisiejsze pierwsze czytanie brzmiało nieco groźnie: „Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze, obłudnicy, bo zamykacie królestwo niebieskie przed ludźmi. Wy sami nie wchodzicie i nie pozwalacie wejść tym, którzy do niego idą”. Rozproszyliście owce, nie zatroszczyliście się o nie. Tak jakby Pan Bóg nam, księżom, chciał powiedzieć: już ja się kiedyś przyjrzę nieprawości waszych serc. To jest coś, co mną wstrząsa, co przypomina mi,

jaka jest moja odpowiedzialność. Przed Kościołem i przed wami.

Kiedy w hospicjum przychodzę do kogoś, kto mi się wydaje nieprzytomny, i łapię się na tym, że robię coś niepersonalistycznego, czyli np. wychodząc, mówię „z Bogiem” i nie patrzę na tę osobę, to nagle robię pstryk, odwracam się i żegnam pełnym zdaniem: „pani Grażyno, proszę zostać z Bogiem”. Bo wyobrażam sobie, że kiedyś mnie ta Grażyna znajdzie po tamtej stronie i zapyta: „a pamiętasz moment, gdy potraktowałeś mnie jak przedmiot?”. Wiem, że z każdym moim czynem stanę po tamtej stronie.

Dzisiejszy dzień jest dla mnie bardzo refleksyjny, ponieważ akurat mam 38. urodziny. Proszę o nieskładanie kondolencji. Urodziny zawsze są okazją do podsumowań. Do przeanalizowania, jaki był ostatni rok. Do zadawania sobie pytań. Czy dołożyłem staranności, żeby być dobrym człowiekiem i dobrym księdzem? Czy nikogo nie odepchnąłem? Jako młody ksiądz byłem katotalibem. Życie uczy mnie bycia coraz łagodniejszym. Już widzę, że nie wszystkie wybory są czarno-białe.

Idźmy dalej: czy byłem zawsze kulturalny? Czy wymagałem od siebie? Czy się przygotowywałem? Czy nie zmarnowałem tego czasu, który Pan Bóg mi dał? Zwłaszcza że od bez mała trzech lat jestem na życiowym wirażu, bo żyję z nieuleczalnym nowotworem. Każda rocznica moich urodzin, nie dość że mnie skłania do refleksji, to jeszcze każe stawiać pytanie, czy będzie następna. Ale pytam też o inne sprawy. Janie, czy ty tego czasu choroby nie roztrwonileś? W tym sensie, że skupiłeś się na sobie albo – z przeciwnego bieguny – uciekłeś w nadaktywność? Chciałbym, żeby w tych moich zamyśleniach pobrzmiewały także państwa pytania do samych siebie. Zapraszam do dyskusji wewnętrznej.

Czy gdybym się znalazł na wirażu, byłby ktoś, komu się mogę zwierzyć, komu mogę zaufać? Całe życie innych odpycham czy walczę o relacje? Czy walczę o swoje sumienie? Ćwiczymy je w codzienności. Na małych rzeczach, na małych uczciwościach albo małych nieuczciwościach. By, gdy przyjdzie jakaś wielka pokusa, ono nas ochroniło.

Teraz pytania o bliskość. Czy potrafimy kochać swoich najbliższych? Czy łatwo darujemy urazy? Czy obrażamy się, tkwimy w złości, która sięga aż do szpiku kości pokoleniowej? „Nigdy mu nie wybaczę”. „Nie daruję krzywdy”.

Chrześcijaństwo nie jest głupie. Często mylimy je z cierpiętnictwem. I bez zastanowienia mówimy o nadstawianiu drugiego policzka. Tak, poleca nam to Ewangelia. Ale proszę zwrócić uwagę, że kiedy Jezusa podczas męki

żołnierz policzkuje żelazną rękawicą za rzekome bluźnierstwo, Chrystus mówi: „Jeżeli źle powiedziałem, udowodnij, co było złego. A jeżeli dobrze, to dlaczego Mnie bijesz?”. Jeżeli ktoś mnie krzywdzi, mam prawo zapytać. Nie biernie nadstawiać drugi policzek, tylko zapytać: dlaczego mnie bijesz, dlaczego mnie krzywdzisz? Jeżeli to rzeczywiście jest krzywdziciel, to początkiem wybaczenia jest nazwanie pewnych faktów po imieniu. Skrzywdziłeś mnie w tym, w tym, w tym i w tym. Ale nie pozwolę, żeby to zło odniosło podwójny sukces. Pierwszy, bo zaistniało, a drugi, bo zniszczyło mnie i z mojego serca zrobiło suchą śliwkę niezdolną do przeżywania dobrych uczuć. Po prostu zrobiło ze mnie frustrata. To jest początek głębokiego przebaczenia. Nie należy siebie tym złem obciążać.

Jestem chyba beznadziejnym księdzem, bo nie potrafię przekonać młodych ludzi do kilku fundamentalnych dla mnie prawd. Pierwsza to jest to, że na ołtarzu będzie Chrystus pod postacią chleba i wina. Że jak podniosę hostię i wszyscy będziemy się w nią wpatrywać, mówiąc: „Panie, nie jestem godzien”, ale chociaż muśnij mnie, a będę wewnętrznie przemieniony, to mogą zdarzyć się rzeczy niezwykle. Jak to jeszcze dobitniej powiedzieć? „Jeżeli Bóg z nami, któż przeciwko nam?”.

Jak przekonać młodych facetów, że bycie księdzem, w celibacie to może być fascynująca przygoda, która w ogóle nie ogranicza? Że celibat jest niezwykle męski? Że można czuć się wolnym we współczesnym Kościele? Jak przekonać, że mimo licznych zgorszeń ze strony duchownych są rzetelni i gorliwi kapłani? Ojciec Święty Benedykt XVI przeniósł po cichu do stanu świeckiego ponad 400 księży pedofilów, bydlaków. Moi państwo, już Pan Bóg zajmie się nieprawością ich serc. Co nie znaczy, że nie mamy ich ścigać i zamykać do więzień. Trzeba bezsprzecznie reagować na zło.

Nie urodziłem się w jakiejś wybitnie pobożnej rodzinie. Nie narzucaliśmy się Panu Bogu. Ale zostałem księdzem właśnie z tego powodu, że pochodziłem z takiego, a nie innego środowiska. Dlatego napisałem na obrazku prymitywnym: „Nie potrzebują lekarza zdrowi, lecz ci, którzy się źle mają”. Zrobiłem to, ponieważ zawsze chciałem być człowiekiem dialogu. Bardzo lubię rozmawiać z innymi, zwłaszcza z inaczej myślącymi, bo wydaje mi się, że jestem w stanie ich zrozumieć.

Myślę dzisiaj: Janie, wiele rzeczy ci się udało. Całe życie ci mówiono: „inteligentny, ale leń”, a pokonałeś to lenistwo. Zrobiłem jakiś śmieszny doktorat (każdy by potrafił), specjalizację z bioetyki, habilitację przerwała mi choroba. Uczciwie byłem wikariuszem. Uczyłem w szkole z wielką pasją –

najpierw w zawodówce, potem w dobrych liceach, w których chciałem się wzbijać na szczyty erudycji. Zawsze pisałem uczniom na tablicy numer telefonu do siebie i mówiłem: „Skorzystajcie, jak będziecie w trudnej sytuacji” (no dobra, przyznam się. Mówiłem: „Jak będziecie naprawdę w czarnej dupie”). Zdarzało się, że telefon w środku nocy zadzwonił. Zresztą i dziś się to zdarza.

Przykładałem się do wykładania na uczelni. Zbudowałem jedno z najlepszych hospicjów Polsce. Co ja mówię! Ja? Zbudowaliśmy! To ciężka praca wielu ludzi.

Ale może Pan Bóg chce mi pokazać, że to wszystko jest nieważne? Może chce mi pokazać, że to, czym mógłbym się szczycić, to, na co pracowałem przez długie lata, że to są śmieci? A coś, co uważałem za straszną porażkę – chorobę, powinienem uznać za sukces? Może to coś najważniejszego, co miało mi się w życiu przydarzyć? Bo otworzyło mnie na rzeczywistości, których będąc w innej sytuacji, nigdy bym nie dostrzegł?

Wiecie, jak mi to trudno powiedzieć? Wciąż we mnie walczą różne siły...

Bo, moi państwo, ja się wcale nie cieszę z tego glejaka, nie mówię z czułością: mój glejaczku kochany, rozwijaj się. Nie. To jest kawał biologicznego świństwa. Ale może Pan Bóg chce mnie ogołocić? Może chce mi powiedzieć: Jan, najistotniejsze, byś pokazał ludziom, że ważne jest zbawienie, że ważna jest relacja ze Mną, ważna jest miłość, uczciwość i bliskość. Może...

Specjalnie wybrałem tę ostatnią Mszę Świętą wieczorną, żeby się skupić i prosić, byście się pomodlili nią ze mną. Będę odprawiał moją ulubioną modlitwę eucharystyczną, tzw. pierwszy kanon, który jest bardzo czuły. Zawarte jest w nim wspomnienie żywych, czyli was wszystkich. Powiem: „Pamiętaj, Boże, o swoich sługach i służebnicach i o wszystkich tu zgromadzonych, których wiara i oddanie są Ci znane”. Nastąpi chwila ciszy, pochylę się i będę się za was modlił. Następnie was zaproszę do modlitwy: „Za nich składamy Tobie tę Ofiarę uwielbienia, a także oni ją składają i wznoszą swoje modlitwy ku Tobie, Bogu wiecznemu, żywemu i prawdziwemu, za siebie oraz za wszystkich swoich bliskich, aby dostąpić odkupienia dusz swoich i osiągnąć zbawienie”. Zobaczcie, w starej modlitwie sprzed Soboru tak dobitnie ukazane kapłaństwo wiernych... „Oni ją składają”, czyli wy ją składacie. I to nie tylko za siebie, ale za wszystkich swoich żywych bliskich, bez względu na rodzaj bliskości. Pomyśl wtedy o

kimś, kto jest ci najbliższy, i nie przejmuj się konwenansami, że nie wypada. Otul go czułością modlitwy.

Na bliskość ze zmarłymi będzie czas po Przeistoczeniu. Powiem: „Pamiętaj, Boże, o swoich sługach i służebnicach (w myśli albo na głos wymienię, za kogo się modlę), którzy przed nami odeszli ze znakiem wiary i śpią w pokoju”. Wtedy pomyśl o twoich zmarłych. Zwróć uwagę, jak Kościół jest nadal czuły w miłosierdziu. Nie mówi o silnej, niewzruszonej wierze, ale o jakimkolwiek znaku wiary.

Nastąpi kolejna chwila ciszy i skupienia. Modlitwa zakończy się słowami: „Błagamy Cię, daj tym zmarłym oraz wszystkim spoczywającym w Chrystusie udział w Twojej radości, światłości i pokoju. Przez Chrystusa Pana naszego”.

Kiedy myślę o tym moim byciu księdzem, to uświadamiam sobie, że ważnym wyzwaniem dla mnie były słowa z Pisma Świętego: „Nie straciłeś żadnego z tych, których ci dałem”. Może straciłem? Może nie byłem na tyle wnikliwy, żeby z każdym z tych ludzi, którzy stanęli na mojej drodze, nawiązać kontakt, żeby mi zaufali? Nie wiem. Nie potrafię być, tak mi się wydaje, jeszcze autentyczniejszym świadkiem, że warto być księdzem. A warto. Tak warto... Gdybym miał wybierać kapłaństwo jeszcze raz, to wybrałbym je z posłuszeństwem, którego nie uznajemy za bałwochwalstwo. Wybrałbym je z celibatem, którego nie uważam za więzienie. To jest mój celibat, to jest moje życie, ja sobie z moją wolnością i moim celibatem poradzę. Uważam, że on jest płodny. To jest też pytanie do państwa: jak traktujecie swoją wolność? Nie bójcie się jej. Nie ma katolicyzmu bez wolności. Pan Bóg dał ci to wspaniałe narzędzie – sumienie, które ci powie, co jest dobre, a co złe. Dzięki niemu poradzisz sobie z darem wolności, uniesiesz go, zachwycisz się nim. Nie po to dostaliśmy wolność, żeby nam zaszkoziła. Nie bójmy się z niej korzystać, ale róbmy to odpowiedzialnie. Amen.

23.

Bóg jest czuły

Nie jestem godzien, abyś przyszedł do mnie, ale wiem, że jedno
Twoje słowo, jedno muśnięcie mnie czułym, Bożym piórkiem,
może mnie przemienić.

Czytanie z Księgi Wyjścia (Wj 16, 2-4. 12-15)

Na pustyni całe zgromadzenie synów Izraela zaczęło szemrać przeciw Mojżeszowi i przeciw Aaronowi. Synowie Izraela mówili im: „Obyśmy pomarli z ręki Pana w ziemi egipskiej, gdzieśmy zasiadali przed garnkami mięsa i chleb jadali do sytości. Wyprowadziliście nas na tę pustynię, aby głodem umorzyć całą tę rzeszę”.

Pan powiedział wówczas do Mojżesza: „Oto ześlę wam chleb z nieba na kształt deszczu. I będzie wychodził lud, i każdego dnia będzie zbierał według potrzeby dziennej. Chcę ich także doświadczyć, czy pójdą za moimi rozkazami czy też nie.

Słyszałem szemranie synów Izraela. Powiedz im tak: O zmierzchu będziecie jeść mięso, a rano nasycicie się chlebem. Poznacie wtedy, że Ja, Pan, jestem waszym Bogiem”.

Rzeczywiście, wieczorem przyleciały przepiórki i pokryły obóz, a kiedy nazajutrz rano warstwa rosy uniosła się ku górze, ujrzano, że na pustyni leżało coś drobnego, ziarnistego, niby szron na ziemi. Na widok tego synowie Izraela pytali się wzajemnie: „Manhu?”, to znaczy „co to jest?”, gdyż nie wiedzieli, co to było.

Wtedy Mojżesz powiedział do nich: „To jest chleb, który Pan wam daje na pokarm”.

Drodzy państwo!

Teksty biblijne doskonale oddają ludzką kondycję. Wciąż narzekamy, jesteśmy niezadowoleni – jak Izrael, z dzisiaj cytowanej Księgi Wyjścia, który tęskni za niewolą. Wygraża swoim przywódcom – Mojżeszowi i Aaronowi: po co nas wyprowadziliście na pustkowie, gdzie tylko kamienie? Chciałoby się współcześnie powiedzieć: zgliszcza i ruiny. A w Egipcie garnki pełne mięsa i chleb do sytości.

Niełatwo jest być przywódcą narodów w czasach przemian i kryzysów. Mówię zarówno o tych, którzy oddają władzę, jak i o tych, którzy ją przejmą. Wszyscy zostaną najczęściej niesprawiedliwie ocenieni. Władza rozumiana jako służba nie jest łatwa. I nie spotyka się z natychmiastowym poklaskiem. Tak jest od Mojżesza aż do współczesności.

„Spożywaliśmy chleb aniołów” – mówi psalm. To niezwykle, że w ludzką historię pełną kłótni wchodzi Pan Bóg ze swą realną obecnością. Chleb anielski to jedno z określeń Eucharystii. Mamy stół słowa Bożego i zaraz po nim stół Eucharystii. Msza Święta, na której jesteśmy, nie jest zgromadzeniem liturgicznym, zebraniem eucharystycznym, mimo że odprawiamy ją w koncelebrze. Nie powinno się mówić „przewodniczący Eucharystii”. Jeżeli już, to „główny celebrans”.

Jak owocnie przeżyć Mszę Świętą? Uświadomić sobie, że kiedy ks. Grzegorz pochyli się nad ołtarzem, trzymając hostię, a ja w skupieniu wyciągnę rękę i powiemy: „To jest bowiem Ciało moje”, „to jest bowiem kielich Krwi mojej”, będziemy mieli do czynienia z realną obecnością Chrystusa.

W dawnej liturgii wcześniej następowało ofertorium, które obecnie nazywamy przygotowaniem darów. Wtedy, jak i teraz, kapłan w starożytnym geście unosił i unosi nad ołtarzem na patenie chleb, później wino zmieszane z wodą. Starożytność tych gestów wywodzi się niemal z prehistorii, gdzie wszyscy kapłani pogańscy, żydowscy i inni unosili nad ołtarzem-kamieniem żertwę ku bóstwom lub Bogu. W nadzwyczajnej formie rytu rzymskiego, który – jako prawomocny – przywrócił Benedykt XVI, modlitwy ofiarowania były, wydaje mi się, pełniejsze. Te obecne są zaczerpnięte z błogosławieństwa stołu podczas paschy. W nadzwyczajnej formie była wspaniała modlitwa „Suscipe, sancte Pater”: „Przyjmij, Ojczy Święty, tę niepokalaną hostię, którą ja – niegodny sługa – ofiaruję Tobie za niezliczone grzechy, zaniedbania i przewinienia moje, a także za grzechy innych ludzi – zwłaszcza chrześcijan – tak żywych, jak i umarłych”. Niezwykle

ekumeniczna, a nawet ponadreligijna modlitwa.

Obecnie, gdy w Kościele istotny filar stanowią ruchy charyzmatyczne związane z Duchem Świętym i Jego odnawiającą mocą, przykro mi, że została usunięta modlitwa do Ducha Świętego: „Veni, sanctificator omnipotens aetérne Deus: benedicite oblata, prosequando: et béne dic hoc sacrificium, tuo sancto nómini praeparátum”. Kapłan podnosił oczy ku niebu, spraszając Ducha Świętego, wyciągał dłonie nad hostią oraz kielichem i mówił: „Przybądź, Uświęcicielu Wszechmogący, wieczny Boże, i pobłogosław te dary [czyń nad nimi znak krzyża], Twojemu świętemu imieniu przygotowane”.

Po przygotowaniu darów słyszymy: „Módlcie się, aby moją i waszą ofiarę przyjął Bóg-Ojciec wszechmogący”. Tutaj jest zaznaczenie wagi kapłaństwa wiernych, moi państwo. To znaczy, że wy tę mszę współofiarowujecie z kapłanem. Na podnoszonej patenie złożcie wszystko to, z czym przyszłście dziś do kościoła. Radość i nadzieję, smutki i obawy. Kiedy kapłan będzie kończył prefację, padną słowa: „I my z wszystkimi chórami aniołów i świętych jednym głosem wołamy”. Wtedy niech otworzą się niebiosa, a nasze ludzkie, zachrypnięte głosy złączą się z chwałą aniołów, archaniołów i zbawionych, którzy nieustannie śpiewają: „święty, święty, święty”.

Gdy kapłan uniesie Najświętsze Postaci, w duchu fałszywej pokory nie upuszczajcie głowy. Wszak to na żądanie ludu, który chciał widzieć i adorować, w XII i XIII wieku we Mszy Świętej pojawiło się podniesienie – najpierw chleba, potem kielicha. Wpatrujcie się w hostię i kielich, mówiąc: „Pan mój i Bóg mój”.

A w momencie, kiedy kapłan uniesie hostię nad pateną oraz kielichem i powie: „Oto Baranek Boży”, z wielką wiarą patrząc, a nawet zachowując ze starej liturgii gest uderzenia się w pierś, mówmy: „Panie, wyznaję, że to Ty. Nie jestem godzien, abyś przyszedł do mnie, ale wiem, że jedno Twoje słowo, jedno muśnięcie mnie czułym, Bożym piórkiem, może mnie przemienić”.

Nauczmy się przytulać modlitwą, przytulać komunią świętą tych, których kochamy. Można się za kogoś tak głęboko pomodlić, przyjąć komunię świętą, żeby poczuł bliskość i czułość. Bóg jest czuły. Kościół jest (powinien być) czuły. I my bądźmy czuli. Amen.

Część druga

**Rekolekcje z ks. Janem.
Herod, Piłat, setnik i inni**

Drodzy państwo!

Pozwoliłem sobie zaproponować taki tytuł rekolekcji: „Herod, Piłat, setnik i inni”. Pragnę jednak na wstępie zauważyć, że nie wydobędziemy z Pisma Świętego tego, czego potrzebujemy, jeśli nie sięgniemy do dna naszych sumień. Nie będę aż tak radykalny, by zmuszać was do zmiany imienia na podobieństwo tej zmiany, o której mówi dzisiejsze pierwsze czytanie: „Już nie nazywam ciebie Abram, ale Abraham”. Ale coś z tego musi być, jeżeli chcemy przeżyć te rekolekcje na pełnej petardzie. Musimy mieć odwagę w każdej z tych postaci, które państwu proponuję, przejrzeć się samemu. Dlatego proszę się nie zdziwić, że będę je łączył w egzotyczne pary. Heroda na przykład zestawię z Piłatem.

Musimy się dzisiaj skoncentrować na głosie, który każdy z nas w sobie ma – na głosie sumienia. On w katolicyzmie jest najwyższą normą moralności.

Zwróćmy uwagę na przymierze, które Bóg wielokrotnie zawierał z Abrahamem. Lud je łamał, później znów było zawierane, lud kolejny raz je łamał... W tym rytmie prorocy byli przysyłani, by uleczyć sytuację. Tymczasem przymierze dojrzewało. Chciałbym, żebyśmy do pewnych prawd dorastali. Wyobraźmy sobie, że do pewnego momentu Pan Bóg nas prowadzi za rękę. Zdaje się, że nawet była o tym mowa w pierwszym czytaniu ostatniej niedzieli: pierwsze przymierze złamaliście wtedy, kiedy prowadziłem was za rękę. Ale teraz z wami zawrę drugie. Co Bóg nam przez to chce powiedzieć? Jesteś moim synem. Jestem przy tobie zawsze, zwłaszcza wtedy, kiedy twój świat wali ci się na głowę. Nie zostawiam cię nawet wtedy, kiedy mnie nie czujesz. Ale nie traktuję cię protekcjonalnie. Nie przesuwam tym oto Bożym paluchem po szachownicy życia. Jesteś moim umiłowanym dzieckiem, to prawda. Ale nie po to cię tak wspaniale stworzyłem, nie po to dałem ci rozum, sumienie, Ewangelię, a to wszystko oświeciłem nauką Kościoła, żeby cię do czegokolwiek zmuszać. Nie po to dałem ci ten wspaniały dar wolności, żeby ci go natychmiast odbierać nakazami. W każdej sytuacji we wnętrzu swojego jestestwa podejmiesz ostateczną decyzję.

Nauka Kościoła nas, katolików, obowiązuje, ale nie w sposób absolutny. Jest bardzo silnym światłem, ale przecież istnieją tysiące wewnętrznych zależności. Rozstrzyga sumienie, odpowiedzialność za decyzję spoczywa na nas. Ponosimy jej konsekwencje podobnie jak Herod, Piłat, setnik i wielu innych, z którymi spotkamy się w te rekolekcje.

W dniu ich rozpoczęcia apeluję: nie bójcie się wolności! Nie bójcie się

wolności, która tak naprawdę jest kwintesencją naszej ludzkiej godności. Pan Bóg nie dał nam jej po to, żebyśmy się nią pokaleczyli. Ufa nam na tyle, że nie ingeruje automatycznie w nasze wybory. To jest ta nieznośna ciężkość bytu. Wolność każdy musi nieść na swoich barkach, a co za tym idzie – nieustannie, mozolnie pracować nad ugorem własnego sumienia. Ale to właśnie w chrześcijaństwie i katolicyzmie najbardziej mnie zachwyca. Amen.

Rozpocznijmy krotkawilnie – à propos telefonów dzwoniących w kościele. Proszę sobie wyobrazić, że gdy byłem jeszcze talibem katolickim, zająłm księdzem, w trakcie mojego płomiennego kazania w kościele w Sopocie nagle komuś zadzwonił telefon. Zawiesiłem teatralnie głos, by ukarać tę osobę. Telefon przestał dzwonić. Potem znów słyhać ten sam potwornie głośny dzwonek. Teatralna pauza, sapię, buduję napięcie, zgrzytam zębami, moja twarz wygląda diabolicznie, z oczu lecą pioruny... Po Mszy Świętej spotykam moją mamę, która akurat na niej była. Mówię: „Słyszałaś? Jakiejś babie dzwonił telefon” (tutaj wyszedł ze mnie szowinista). Ona na to: „To mnie”. Wtedy postanowiłem, że nikomu nie zwrócę uwagi, gdy mu zadzwoni w kościele telefon. Proszę więc czuć się zupełnie swobodnie.

Teraz przejdę do postaci, której chciałbym, żebyśmy się przyjrzeni. Herod był człowiekiem sumienia. Świetnie dobierał rekolekcjonistów. Miał najlepszego – Jana Chrzciciela. Odczuwał trwogę, słuchając go, te słowa coś w nim poruszały. Można powiedzieć, że jego sumienie było wyczulone i skrzypnęło nie raz, nie dwa w momencie, gdy padało zdanie: nie wolno ci brać żony twego brata. Odczuwał trwogę, a jednak chętnie go słuhał. Herodiadzie się to nie podobało, ale nie potrafiła zepsuć tej relacji. Herod często brał Jana w obronę jako prawego człowieka, czyli wiedział, że ten go słusznie poucza, a dodatkowo jest świętym. Św. Mateusz napisze, że nie zgładził go wcześniej, dlatego że bał się ludu. Być może. Puśćmy wodze fantazji: Jan był wprawdzie wtrącony do więzienia, ale jak Herod miał doła, to może go z tego więzienia wydobywał, żeby go słuhać, żeby jednak dobić się do własnej duchowości?

Nadszedł dzień, w którym Herod wyprawił swoje urodziny. Wokół niego zgromadziła się cała Jerozolima – przywódcy wojskowi, możnowładcy, współcześnie byśmy powiedzieli: cały układ. W każdej społeczności, także naszej, występują ciągłe zależności. Trudno się uwolnić z ich sieci. Ale wróćmy na królewskie salony, na których pojawia się piękna Salome – i zaczyna tańczyć. Ile to razy podjęliśmy decyzję, obiecaliśmy komuś coś pod wpływem emocji? Ile razy cielesność nam przysłaiała świat? Ile razy zgodziliśmy się na coś, czego potem żalowaliśmy, ale nie wiedzieliśmy, jak się z tego wykręcić? Herod złożył przysięgę, której pewnie za chwilę żalował: „Dam ci, o co tylko poprosisz, nawet połowę mojego królestwa”. Akurat by jej oddał... I teraz pytanie etyczne: kto był bardziej

zepsuty – Herodiada czy Salome? Kto był bardziej zdegradowany moralnie? Tutaj zdania mogą być podzielone. Salome, wydawałoby się, w niewiedzy biegnie do swojej matki jako do autorytetu i pyta, o co ma prosić. Wiadomo z jakich powodów Herodiada chciała głowy Jana Chrzciciela – żeby nie drażył tematu cudzołóstwa. To znaczy, że ona też miała sumienie, czuła się winna, że zostawiła jego brata. Tyle że zadziałała błędnie. Chciała się pozbyć wyrzutów sumienia, eliminując ich głos, którym w jej przypadku był Jan Chrzciciel. Ile razy taki głos w sobie zagłuszamy?

Może państwu podpadnę, ale trochę po to jestem, by państwu podpadać... Jeżeli widzę – i to mówię bardzo poważnie – że cały albo prawie cały kościół przed rekolekcjami idzie do komunii świętej, to albo jesteście wszyscy bezgrzeszni i w stanie łaski uświęcającej – wtedy się wam kłaniam, albo – co też można założyć – macie na tyle szerokie sumienia, że udało wam się przepuścić przez filtr wrażliwości wiele, może o wiele za dużo. Nie rozstrzygam tej kwestii, po prostu poddaję pod rozważenie. Czy przypadkiem to nasze masowe przyjmowanie komunii świętej nie jest lekceważeniem realnej obecności Chrystusa w Eucharystii? Może reprezentuję starą szkołę, ale chcę zapytać: czy to, że tak łatwo wyciągam rękę po to, żeby zagościł na niej Chrystus, nie jest przypadkiem oznaką spoufalenia się z Nim? Czy naprawdę wierzymy, że to jest On? Czy przyjmując komunię świętą, odpowiadamy sobie na pytanie: czy jestem w łasce? Wiecie, kiedy można w niej nie być? Wtedy, kiedy mamy z sobą konflikt. Musimy mieć odwagę zejścia na samo dno naszego jestestwa i powiedzenia sobie, co jest dobre, a co złe. Wtedy jesteśmy w stanie sobie uświadomić, że popełniłem grzech ciężki (to wcale nie musiała być jakaś potwornie ciężka sprawa...), bo nie posłuchałem prawego głosu sumienia. Znać go dobrze, ja też go znam. On nam mówi: powstrzymaj się albo działaj, a my znajdujemy tysiące wytłumaczeń na to, że trzeba postąpić na odwrót. Głos Boga w sumieniu jednak się przebija. Ale gdy świadomie rezygnujemy z jego podpowiedzi i łamiemy sumienie – wtedy jest grzech ciężki. Oczywiście, jeśli przekraczamy przykazania w poważnych sprawach, świadomie i dobrowolnie.

To jest moment, żebyśmy zrobili przegląd naszego życia. Czy może zdarzało się tak, że przyjmowaliśmy komunię świętą wtedy, kiedy nie do końca byliśmy pewni albo czuliśmy się czymś przymuszeni?

Przyjrzyjmy się Salome, która uznaje matkę za autorytet, więc przychodzi ją zapytać, o co ma poprosić Heroda. Matka nie każe jej prosić o bogactwa, ale o to, by w jakimś sensie usprawiedliwiła jej zło. Albo

przynajmniej usunęła je z jej oczu. Czy tak się momentami nie dzieje w naszym życiu, kiedy postępujemy niemoralnie i uczymy tego nasze dzieci? Kiedy mówimy: „dziecko, kocham cię bardzo i zrobię dla ciebie wszystko”? Nie! „Ponieważ cię kocham, nie zrobię dla ciebie wszystkiego. Bo chcę dla ciebie jak najlepiej. Nie nauczę cię nieuczciwości, nie będę cię krył, kiedy popełnisz przestępstwo, kiedy poprosisz mnie, bym ci kupił prawo jazdy albo dał łapówki, żebyś się dostał na studia. Nie będę uciekał się do nikczemnych sposobów, by cię wypromować. Nie, ponieważ cię kocham. Właśnie dlatego nie zrobię dla ciebie wszystkiego”.

Wróćmy do perfidii Salome, która natychmiast weszła w to, co jej matka sobie wymyśliła. Nie było dialogu: mam, a może o coś innego poproszę, nie o tę głowę. Kto wie, co Herodiada miała na myśli, mówiąc o głowie. Może to, by Herod uciszył Jana, a może by go ściął, ale zakopał. A zdeprawowana córka ani chwili się nie wahała. Pospiesznie weszła do króla i zażądała czyjegoś życia. Nie miała skrupułów. Nie prosiła, zażądała: Daj mi tu natychmiast na misie głowę Jana Chrzciciela. Zło poleczone przez autorytet jeszcze bardziej deprawuje podwładnego.

A może ją trochę usprawiedliwimy? Co jeśli tak się potwornie bała matki, że wiedziała, iż jak wróci bez tej głowy, to Herodiada ją zniszczy? To jest pytanie o patologiczne sytuacje w naszych rodzinach. Czy nie zdarza się tak, że pod płaszczykiem wielkiej elegancji, zwłaszcza międzypokoleniowej, jesteśmy w stanie urządzić sobie nawzajem piekło? Mam nadzieję, że nie. Ale przecież takie sytuacje doskonale znamy, kiedy jakaś rodzinna trauma przechodzi z babki na matkę, z matki na córkę. Z moich obserwacji wynika, że to częściej występuje w tej kobiecej linii. „Jesteś beznadziejna”, „jesteś gruba”, „do niczego się nie nadajesz”, „jesteś okropna”. Czy przypadkiem czasami w nerwach, w jakimś kompletnym zaślepieniu, nie łamiemy kręgosłupów naszym dzieciom?

Idźmy do tego, co jest w tej biblijnej opowieści chyba najciekawsze. Król bardzo się zasmucił. Ten jego smutek był głęboki. Ale nie na tyle, by Herod odpowiedział: nie. Przecież on miał władzę absolutną, a mimo to nie powiedział: głupia dziewucho, idź mi z oczu, bo zaraz twoją głowę przyniosę. Gdyby to zrobił, to przecież nikt z jego dworzan nie ośmieliłby się go wykić. Każda władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje absolutnie. Co się zadziało? Dlaczego nikt z jego przyjaciół nie powiedział: Herod, daj spokój; Herod, wyluzuj? Dlaczego nikt się nie wstawił za prorokiem Janem Chrzcicielem? Bo wszyscy byli korporacyjnymi

szczurkami. Bali się siebie nawzajem. Zachowywali się trochę jak w partii komunistycznej, patrzyli, kto stoi koło Breżniewa.

Jaka ogromna wina Heroda! Miał wszelkie możliwości, by uchronić Jana Chrzciciela. Tylko przez pychę, przez wzgląd na współbiesiadników i na kretyńską przysięgę złożoną na bank pod wpływem alkoholu (przecież była uczta). Ze względu na przysięgę, która nie obowiązywała w sumieniu, a nawet była grzeszna, bo przecież Żydzi wiedzieli, że nie można przysięgać w czczych kwestiach. Całe towarzystwo milczało. Czy to nie przypomina tej sytuacji sprzed lat, kiedy cały Poznań milczał, a jeden nieżyjący już dyrygent przez lata molestował chłopców? Żeby nie wspomnieć hierarchy kościelnego z tego samego miasta, o którym do tej pory jest cisza. Czy mamy odwagę w naszym środowisku powiedzieć: nie? Tak wychwalamy prymasa Wyszyńskiego. On miał odwagę powiedzieć: „non possumus”. I wiadomo, że to się dla niego skończyło więzieniem. Nam takiej niezłomności brakuje. Chcemy się jakoś cichaczem prześlizgnąć, nie wychylać. Mówię to także do siebie, który jestem w korporacji Roman Catholic Church. A przecież są takie sytuacje, kiedy powinienem grzmieć. Ale czy ja się boję? Zastanawiam się... Nie. Wiecie dlaczego mięknę? Z pragmatyzmu. Bo wiem, że natychmiast zrobiliby ze mnie wariata. Jak najłatwiej ustrzelić Kaczkowskiego? Powiedzieć, że zaczyna gadać bzdury, bo mu glejak przeżera mózg. I już nikt nie chciałby go słuchać. Gdybym skrytykował to, co musiałbym w sumieniu skrytykować, natychmiast by mnie ustrzelili. Jestem tego świadomy, dlatego mówiąc to, co mówię, wiem, że stąпам po cienkim lodzie.

Zachęcam państwa do odwagi i otwartości. Do tego, byście czasem albo często krzyczeli przeciw niesprawiedliwości, niszczeniu autorytetów. Żebyście mieli siłę, by w swoim środowisku przecinać pęta i więzy zła.

Może to będzie banalny przykład, ale niemal wszyscy kipimy złością, kiedy widzimy pijanych kierowców albo słyszymy o nich. Jednak sytuacja nieco się zmienia, kiedy samochód prowadzi nasz pijany szwagier albo ktoś jeszcze bliższy sercu.

Czy nie zdarza się tak, na przykład w środowiskach akademickich, że dopóki jesteśmy młodymi asystentami, to nas denerwuje starcza gerentokracja, która pilnuje stołków na górze wydziału, ale kiedy sami jesteśmy w wieku emerytalnym, robimy dokładnie to samo, nie dopuszczając młodszych?

Wróć jeszcze do tego, co w tej opowieści o uczcie u Heroda zawsze mną wstrząsa. Że przez wzgląd na przysięgę i biesiadników, nie odmówił.

Nie zwlekał, zaraz posłał kata. Od kata w tamtych czasach należałoby wymagać nie lada heroizmu, by powiedział: nie. Ale dlaczego nie? Dlaczego ci najniżsi funkcjonariusze muszą się tłumaczyć rozkazem?

„Ten poszedł, ściął go w więzieniu, przyniósł głowę jego na misie, dał ją dziewczęciu”. Jakie to dziwne... Dziewczęciu dał ociekającą krwią głowę na misie, a ta owoc tej bestialskiej zbrodni zaniósła matce. Dlaczego? Po co? Psycholog by zapytał: co ona sobie tym załatwiła? Jakie krwiożercze instynkty w niej dygotały?

Zwróćcie uwagę – Jezus rozmawiał ze wszystkimi: z cudzołożnicami, niewiernymi, poganami, wątpięcymi, ale nie rozmawiał z cynikami. Nawet faryzeuszowi, kiedy ten zaczął dobrze kombinować, powiedział: „Niedaleko jesteś od królestwa Bożego”. Ale kiedy pytania zadawał mu Herod, człowiek już wtedy zdegradowany kompletnie, nie odpowiedział mu nic. A gdy ten odesłał Go do Piłata, ewangelista zapisał: „I od tej chwili Herod i Piłat stali się przyjaciółmi”. Przyjaciółmi w złu, w nieprawości. Niech Pan Bóg nas broni, żebyśmy w nawet w najmniejszym zakamarku naszego serca byli nieprawi.

Proszę was, zróbcie dziś wieczorem porządny rachunek sumienia. Czy kiedykolwiek zdarzyło się, że zataiłem grzech ciężki na spowiedzi? Powiecie: to rekolekcje dla gimnazjalistów. Nie. Że przyjąłem Jezusa i Jego prawdziwe Ciało bezmyślnie, wtedy kiedy miałem wątpliwości albo nawet świadomość grzechu ciężkiego? Czy zdarzyło się, że wyraźnie słyszałeś takie obrzydliwe trzaśnięcie sumienia?

Tego głosu, który zawsze z tyłu głowy pobrzmiwa, nie możemy mylić na przykład z intuicją. Bo intuicja to jest wypadkowa inteligencji (nawet takiej interpersonalnej) i doświadczenia. Ona nie jest obiektywna. Mówi nam: probably yes albo probably no. A sumienie, jeżeli go nie okłamujemy, zawsze mówi prawdę. Dlatego proszę go słuchać i nie bać się oświecić go z zewnątrz nauką Kościoła. Amen.

Gdybym słuchał Jezusa dwa tysiące lat temu, to uznałbym go za bluźniercę. „Żydzi obstąpili go i rzekli mu: «Jak długo trzymać będziesz dusze nasze w napięciu? Jeżeli jesteś Chrystusem, powiedz nam wyraźnie». Odpowiedział im Jezus: «Powiedziałem wam, a nie wierzycie; dzieła, które Ja wykonuję w imieniu Ojca mego, świadczą o mnie; lecz wy nie wierzycie, bo nie jesteście z owiec moich. Owce moje głosu mego słuchają i Ja znam je, a one idą za mną. I Ja daję im żywot wieczny, i nie giną na wieki, i nikt nie wydrze ich z ręki mojej. Ojciec mój, który mi je dał, jest większy nad wszystkich i nikt nie może wydrzeć ich z ręki Ojca. Ja i Ojciec jedno jesteśmy». Żydzi znowu naznosili kamieni, aby go ukamienować. Odrzekł im Jezus: «Ukazałem wam wiele dobrych uczynków z mocy Ojca mego; za który z tych uczynków kamienujecie mnie?» Odpowiedzieli mu Żydzi, mówiąc: «Nie kamienujemy cię za dobry uczynek, ale za bluźnierstwo i za to, że Ty, będąc człowiekiem, czynisz siebie Bogiem». Odpowiedział im Jezus: «Czyż w zakonie waszym nie jest napisane: ‘Ja rzekłem: Bogami jesteście?’ Jeśli nazwał bogami tych, których doszło słowo Boże, do mnie, którego Ojciec poświęcił i posłał na świat, wy mówicie: ‘Bluźnisz’, dlatego, że powiedziałem: ‘Jestem Synem Bożym?’ Jeśli nie wykonuję dzieła Ojca mego, nie wierzcie mi; jeśli zaś wykonuję, to choćbyście mi nie wierzyli, wierzcie uczynkom, abyście poznali i wiedzieli, że we mnie jest Ojciec, a Ja w Ojcu». Tedy znowu starali się go pojmać; lecz On uszedł ich ręki”.

Zwracam uwagę na to, że Chrystus w tym momencie nie dyskutuje z faryzeuszami ani uczonymi w Piśmie, którzy mogli mieć interes polityczno-społeczny, finansowy czy jeszcze inny w tym, żeby zachować status quo. On zmusza do myślenia zwyczajnych Żydów, którzy porwali kamienie, by nimi w Niego rzucić. Jezus pyta: „za który z dobrych uczynków chcecie mnie ukamienować?”. Ci, zupełnie logicznie, odpowiadają: za to, że się sam określasz Bogiem. A On ich zaskakuje: to w waszym Piśmie jest zapisane „Bogami jesteście”.

Gdybym państwu powiedział, że jestem Bogiem, tobyście mnie odesłali do psychiatry. Ale skoro Chrystus Pan mówi nam, że jesteśmy bogami, to wróćmy do pierwotnego głosu w naszym sumieniu. Do mnie niezwykle mocno przemawia metafora nauki Kościoła jako światła. Światła, dzięki któremu w końcu poczułem się wolny. Przestałem czuć się zamykany w nauczaniu katolickim, gdy odkryłem wielką odpowiedzialność, ale także wolność mego sumienia. Wszystkie najintymniejsze rzeczy dokonują się w

nim. To, że mamy umiejętność rozkminiania tego wszystkiego, co się w nas dzieje, jest pasjonujące. Zwróćcie moi państwo uwagę na to, że bohaterowie dzisiejszej Ewangelii też rozkminiali rozmaite kwestie. Wielu przyszło do Chrystusa, mówiąc, że wszystko, co Jan o Nim powiedział, było prawdą. Czyli patrzyli, oceniali i wyciągali wnioski. I to jest podstawowa zasada. Nie wolno działać w wątpliwościach. Jeżeli je mamy, to musimy się zatrzymać, wniknąć w problem, rozważyć dostępne nam dane. Jeżeli uzyskamy pewność moralną, to mamy obowiązek za nią pójść. Ponosimy konsekwencje swojego wyboru. I tutaj, żeby gdzieś teologicznie się nie wywalić, zrobię przypis. Jeżeli sumienie, pomimo rozważenia w nim wszelkich możliwych opcji, nie zgadza się z nauką Kościoła, to jest niepokonalnie błędne, ale powinniśmy za nim pójść. Dlaczego? Bo jesteśmy w drodze. I to jest nasza droga. Stara katolicka szkoła uczyła stopniowania wymagań moralnych.

Posłużę się przykładem, którego użyłem, zdaje się, w programie pana Tomasza Lisa, po którym część ekstremy katolickiej się na mnie rzuciła. Przytoczyłem sytuację z konfesjonału, prawdziwą, ale pozmieniałem na tyle dane i fakty, żeby nie dało się zdemaskować człowieka, a byśmy mieli casus do rozważenia. Wyobraźmy sobie homoseksualistę, który przychodzi do mnie i nie oczekuje rozgrzeszenia, bo żyje w stałym związku (zresztą nie ma znaczenia, czy on jest homoseksualistą, czy nie, bo jest w stałej niedyspozycji otrzymania rozgrzeszenia). On przyszedł z problemem, z grzechem, z którym sobie nie radził. Mówił, że nie mam prawa mu nie ufać, bo bardzo kocha swojego partnera. Ale ma potworne wyrzuty, bo go zdradza. Umawia się z byle kim i byle gdzie. Nie potrafi z tym skończyć.

Na poziomie prawa naturalnego musiałem mu poradzić, żeby spróbował – na tyle, na ile jest to w tym momencie możliwe – uporządkować swoje życie, czyli wywalić pornografię, nie wchodzić na portale randkowe. Na poziomie wierności własnemu sumieniu podjąć pracę nad niezdradzaniem partnera, niekrzywdzeniem go. To, że dałem mu takie rady, nie oznacza, że jego trwanie w tej relacji było obiektywnie dobre. Ale to był pierwszy krok ku byciu lepszym człowiekiem.

My, księża, czasem mamy problem z przedstawieniem wam czy oświetleniem nauki Kościoła. Ogromną wagę przywiązujemy choćby do purytańskości seksualnej, a już nie jesteśmy wcale tak jednoznaczni, jeżeli chodzi na przykład o ekonomię: płacenie podatków, wynagradzanie pracowników itp.

Tak to już w życiu jest – jednego trzeba pilnować, drugie wzmacniać.

Wykonywać pracę nad sobą na wielu polach. Nie na każdym się będzie idealnym, choć należy do tego dążyć. Naszym braciom, którzy nie są jeszcze gotowi, by żyć w pełni życiem chrześcijańskim, nie stawiamy poprzeczki za wysoko, bo przecież dobrze wiemy, że do wielu rzeczy sami dorastamy. O ile dorastamy. Być może są całe dziedziny naszego życia, w których w ogóle nad sobą nie pracujemy... Dlaczego? Bo się tak przyzwyczailiśmy do jakiejś słabości, że nie wyobrażamy sobie codzienności bez niej, niepostrzeżenie wrosła w nas. Nie rozliczajmy innych. Rozliczajmy siebie. Amen

Odnoszę wrażenie, że czasem wypełnianie prawa jest mistrzostwem świata w naszym odczuciu. Wielokrotnie proponuję wypracowanie przyzwoitości z wektorem plus. Ona podpowiada, że należy dawać więcej, niż się od nas wymaga. Bo to, że się nikogo nie zabiło, nie popełniło zbrodni, było zwyczajnie uczciwym, to nic szczególnego.

Chciałbym zaapelować, żebyśmy we wnętrzu sumienia, które męczę na tych rekolekcjach od trzech dni, odpowiedzieli sobie na pytanie: co mogę dać z siebie wtedy, kiedy nie muszę? Szanując państwa inteligencję, nie będę mówił, że pan z panią może robić to, to, to i to. Może po prostu dam świadectwo (rzadko używam takiej kościelnej nowomowy), powiem, co ja postanowiłem jeszcze na długo przed moją chorobą.

W domu, z którego pochodzę, do finansów nie przywiązywało się specjalnej wagi. Pieniądze nie są największym darem, jaki mógłbym Bogu ofiarować. Zastanawiałem się, co mogę zrobić, by być bliżej, żeby przylgnąć do Niego. Postanowiłem podarować Mu mój czas. Obiecałem nikomu nie odmawiać pomocy, nawet gdy już się będę podpierał nosem, a ktoś będzie mnie prosił o spowiedź. Oczywiście to nie jest rozsądne, jeżeli się w ogóle nie odpoczywa, ale postanowiłem, że będę dawał z siebie wszystko. Taką przyjąłem filozofię w moim życiu i chorowaniu. Nie chcę epatować tą chorobą. Nie jestem żadnym bohaterem, jestem po prostu chory. W dodatku choruję w świetnych warunkach, przy wsparciu wielu ludzi.

Chciałbym żyć tak, jak wybrałem. Nie wbrew chorobie, ale pomimo niej. Dopóki Pan Bóg da mi siłę, a nowotwór nie przeżre mi czachy, dopóty będę się starał głosić rekolekcje, kazania, żebrać na hospicjum, dbać o jakość jego funkcjonowania i dawać z siebie maksimum, mimo że czasem może się to wydawać nierozsądne. Moim największym marzeniem, ale i największym strachem, jest to, że przez chorobę będę zmuszony przestać odprawiać Najświętszą Ofiarę. A to jest sedno mojego życia. Chciałbym, żeby państwo rozkochali się w Eucharystii...

Mam nadzieję, że Pan Bóg da mi w godzinie śmierci kapłana, który powie: „Władzą otrzymaną od Stolicy Apostolskiej udzielam ci odpustu zupełnego i przebaczenia twoich grzechów”. Taką posługę cały czas sprawuję przy umierających. To ich uwalnia od rozmaitych wewnętrznych ciśnień. Mówię im, by się już niczego nie bali, bo są chronieni, skoro uzyskali odpust zupełny, przyjęli komunię świętą. Mają Chrystusa w sercu, więc pójdą z kopytami do nieba. Bardzo chciałbym do końca zupełnie

świadomie pomagać im przechodzić z jednej rzeczywistości w drugą. Jeśli Pan Bóg pozwoli, to – choćby ostatnim palcem – robić znak krzyża i rozgrzeszać. To jest coś najbardziej kapłańskiego w życiu.

Na początku dzisiejszych rozważań wspomniałem o przymierzu, przetrucaniu mostów między dwoma narodami. Tutaj, w warszawskim kościele św. Marcina, otrzymałem jedną z najpiękniejszych nagród, „Pontifici” – Budowniczem Mostów. Zawsze chciałem być tym, który łączy wierzących z inaczej wierzącymi albo niewierzącymi. A teraz się zastanawiam, czy moim kolejnym zadaniem nie jest połączyć środowisko katolików tradycyjnych ze środowiskiem katolików otwartych. Dlaczego o tym mówię i dlaczego to jest dla mnie tak ważne? Bo mam wrażliwość, nazwę ją skrótowo: trydencką. A co się z tym wiąże – nie akceptuję w Kościele zarówno jastrzębi ze strony bardzo liberalnej, jak i jastrzębi z tej strony tradycyjnej, dla których Koronka w lewo, Koronka w prawo może być obrazą majestatu.

Potwornie mnie wkurza upolitycznianie religii. Na przykład mówienie, że Chrystus ma być królem Polski. Ja się kompletnie z tym nie zgadzam. Skoro Chrystus jest królem wszechświata, to przestańmy Go mieszać do polityki, przestańmy Ewangelię do niej mieszać. Zresztą trzeba by się zapytać Chrystusa, czy chciałby być królem Polski i konkurować z własną matką. Mówię to półzartem. W każdym razie od upolityczniania religii bądźmy jak najdalej.

Dlaczego nie chodzę na co dzień na liturgie sprawowane przez tradycjonalistów? Bo one często są powiązane z polityką. Na ogół tam jest ekstrema, skrajna prawica, a dalej ściana. Ale mam w sobie miłość do rytu nadzwyczajnego. Zachwyca mnie on. Nie odprawiam mszy w tym obrządku z dwóch powodów. Jeden jest taki, że niedostatecznie znam łacinę, by to robić dobrze, a drugi: że Pan Bóg trochę mi dał po łapach, dosłownie, nie jestem w stanie pewnych gestów precyzyjnie wykonać, a nie chcę się Mszą Świętą bawić, bo to jest poważna sprawa. Ale wolno mi czerpać z głębi tej liturgii.

Jeżeli powie się księżom, że chciałoby się odprawiać Mszę Świętą w nadzwyczajnej formie rytu rzymskiego, to gorzej niżby się chciało napluć na ołtarz. Musimy ją na nowo odczytać – do czego wzywał Benedykt XVI. Wolno w Kościele robić wszystkie dziwactwa z nową liturgią, a nie wolno sięgnąć po piękno tamtej, bo się wszyscy, nie wiadomo dlaczego, jej boją.

Jasne, że reforma liturgiczna była w Polsce przeprowadzona świetnie.

Język łaciński jest językiem martwym, więc ona była niezbędna. Pozwoliła pozbyć się wielu powtórzeń. Ale nie unieważniła piękna tej nadzwyczajnej formy.

Jest tyle elementów, których znaczenia nie znamy... Zainteresujmy się symboliką szat liturgicznych. Znaćcie ją? Wiedzielibyście, jaka jest symbolika humerału, który znika, podobnie jak cingulum? Wiecie, dlaczego diakon zakłada stułę na jedno ramię? Bo ma mniejszą odpowiedzialność od księdza. A ponieważ został dopiero co wyświęcony, to stuła przechodzi przez jego serce. Później, jako kapłan, będzie ją krzyżował na piersiach, a biskup zwieszał prosto po to, żeby podkreślić trzy stopnie święceń. Teraz pozwolono nam zwieszać stułę, żeby podkreślić naszą jedność z biskupami. Powiedzcie to biskupom... Kto o tym wie?

Nie bójcie się tego, co wymaga głębszego poznania. Karmcie się tym. Twórzcie osobistą relację z Panem Bogiem. Pochodzę z wychłodzonej religijnie rodziny. Kiedy w latach 90. próbowano mnie nawrócić i ciągnięto na rozmaite spotkania ewangelizacyjne, to coś mnie odpychało, nie znajdowałem w tym przestrzeni dla siebie. Tamten Chrystus był Chrystusem niewymagającym, takim misiem-przytulakiem albo też plastikowym Bogiem. Chrześcijaństwo nie może być plastikowe ani pluszowe, bo będzie nieprawdziwe.

Dopiero kiedy wpadł mi w ręce mszałik mojego ojca (niezniszczony, bo nieużywany), to wreszcie zrozumiałem, co to jest ofiara, na czym polega symbolika szat liturgicznych i dlaczego to się wszystko dzieje. Dlaczego ten facet stoi tak dziwnie ubrany; dlaczego podnosi, przepraszam za dosłowność, andruta, i wszyscy przed nim padają. Dopiero wtedy zrozumiałem. Tak bym chciał, żeby ta bliskość z Chrystusem Eucharystycznym była także waszą bliskością, żebyśmy się głupio nie dzielili. Już nie wspominam o tym słynnym podziale na Kościół krakowski–niekrakowski, łagiewnicki–toruński...

Aby być ponad podziałami, z przyjemnością odprawię Najświętszą Ofiarę dla wspólnoty na przykład neokatechumenalnej, ale błagam, żeby mnie nie terroryzowano i uszanowano moją wrażliwość. To nie są oczywiście sprawy życia i śmierci. Ale szukam punktów, w których wszyscy moglibyśmy się spotkać. Szanujmy wzajemnie swoją wrażliwość – o to bardzo proszę. I o czułość wobec Pana Boga. Żebyście mieli świadomość, że niezależnie od tego, w którym z rytów – zwyczajnym czy nadzwyczajnym – Msza Święta jest sprawowana, On tu jest. Amen.

Okazało się, że te nasze rozważania o sumieniu nie są zupełnie niezyciowe. Mówię to w kontekście tej strasznej tragedii, która się rozegrała we francuskich Alpach. Jeżeli potwierdzi się informacja, że pilot celowo roztrzaskał samolot ze 150 osobami na pokładzie, to trzeba się będzie zastanowić, co się zadziało w sumieniu i psychice tego człowieka. Jakie tam musiało być piekło... Mam nadzieję, że wolna wola tego pilota w jakiejś części była zniesiona, że nie ponosi pełnej odpowiedzialności, że nie był aż takim degeneratem... Nawet jeśli nie ma okoliczności łagodzących, to kto wie, czy kiedy samolot już był nie do uratowania, ten człowiek nie pożałował swojej decyzji. Oby. To jest bezmiar zła, wobec którego jesteśmy bezradni.

W Niedzielę Palmową usłyszymy w czasie mszy opis Męki Pańskiej. Dłuższy z opisów rozpoczyna scena, w której kobieta wylewa alabastrowy olejek na stopy Jezusa i jest za to krytykowana. Zrobiła to bezinteresownie. A Judasz, najinteligentniejszy z apostołów, zdecydował się sprzedać swojego Pana za trzydzieści srebrników. Co się wydarzyło w jego sercu i sumieniu?

Pamiętają państwo opis Wieczery Pańskiej? Gdy Judasz wychodzi z Wieczernika, pojawia się zdanie: „a była noc”. Zdarzają się zaćmienia sumienia. Rozświecić sumienie może tylko Boża łaska. Chrystus dziwi się, że ktoś potępia kobietę, która namaściła go olejkiem: „Wylewając ten olejek na moje ciało, na mój pogrzeb to uczyniła”. Gdziekolwiek do końca świata będzie się czytało tę Ewangelię, wspomniana będzie kobieta, która wykonała serdeczny gest. Ona weszła w przestrzeń Męki, tak samo jak Szymon z Cyreny ze swoimi synami. Bycie blisko Jezusa jest już naszą wygraną, bo wtedy jesteśmy wielcy, zdolni do najpiękniejszych rzeczy.

Pozwólcie, że trochę poskanuję Mękę Chrystusa w ujęciu św. Marka. Tam jest mowa o czymś, co dla każdego z nas jest istotne: że można słabo zacząć, ale dobrze skończyć. Do tego jednak trzeba mieć ogromną odwagę. Byłoby szampowo, gdybym teraz mówił o Piotrze, którego nie ominęło moralne potknięcie. Chciałbym zwrócić uwagę na to, że Marek umieścił w Ewangelii siebie: „Wtedy wszyscy Go opuścili i uciekli. A pewien młodzieniec szedł za Nim, odziany prześcieradłem na gołym ciele. Chcieli go pochwycić, lecz on zostawił prześcieradło i bez odzienia uciekł od nich”. Tradycja mówi, że opis ten dotyczy Marka. To był młody chłopak, którego pewnie matka nie chciała w nocy z domu wypuścić, ale on chciał widzieć, co się stanie z Mistrzem. Mimo że uciekł goły, specjalnie umieścił siebie w tej Ewangelii, by się ośmieszyć po wsze czasy. Miał odwagę powiedzieć: w

młodości nie dałem rady.

Spotkałem ostatnio człowieka, który wprost się przyznał, że w pewnej sytuacji życiowej po prostu nie dał rady i zrobił potworne świństwo. Wcale się nie usprawiedliwiał. Do tego potrzeba ogromnej duchowej siły. Z najgorszej sytuacji można wyjść z twarzą. Ks. Tischner mówił: „Prawda wypowiedziana o sobie jest zawsze czymś wielkim, niezależnie od tego, czy jest to prawda o ludzkiej cnocie czy winie. Kto się przyznaje, ten wchodzi pod opiekę prawdy. Prawda chroni lepiej od wszelkiej kryjówki”.

Dlatego jeszcze raz podkreślam, że chrześcijaństwo nie może być pluszowe. Nie wpadłem na to w momencie choroby, tylko wcześniej. Zatem, drodzy księża – wszyscy, którzy tu jesteśmy – ani nasze kapłaństwo, ani nasze chrześcijaństwo nie może być pluszowe, bez trudnych pytań, czynów, które wymagają wysiłku i momentów, które nas do głębi dotykają.

W czasie tych rekolekcji mieliśmy porozmawiać o postawie Heroda, Piłata, setnika i innych. Tych innych już dotknęliśmy, skupmy się na setniku. Wyobraźcie sobie państwo dowódcę, poganina, rzymskiego żołnierza mającego pod sobą stu podwładnych. Twardy gość. Niejedno w życiu już widział. Wykonuje kolejną z wielu egzekucji. Prawdopodobnie robi to beznamietnie. Chce, by przebiegła jak najszybciej. Ani mu blisko do skazanego, ani daleko. To pewnie jego podwładni tłukli się o szaty Jezusa, on w tym nie brał udziału. Może to właśnie on wymyślił, że aby sobie do gardeł nie skakali, powinni ciągnąć losy o suknie. Tradycja podaje, że setnik, kiedy upleciono cierniową koronę, wkładał ją Jezusowi na głowę. I że podczas wkładania zranił się w palec, czyli w jakimś sensie zaczął współuczestniczyć w Męce Chrystusa. Rozumiemy, dlaczego nie od razu powiedział: stop, to jest Sprawiedliwy, zostawcie Go. Musiał dojrzeć. Prawdopodobnie dojrzał przez całą Drogę Krzyżową. I dopiero kiedy ona się skończyła, zaczęły mieć miejsce niezwykle znaki. Ewangeliści zauważają: „rozdarła się na dwoje zasłona w przybytku”, kiedy ziemia zaczęła się trząść, a niebo się zaćmiło, prawdopodobnie pojawiły się grzmoty. Jak twierdzi św. Jan: „umarli powstali z grobów” pod wpływem tych wydarzeń. Może gdyby Chrystus nie wyzionął ducha, setnik by nie dojrzał do tego, aby powiedzieć: „Zaprawdę, ten człowiek był Synem Bożym”?

Poganin w służbie cesarzowi. Opancerzony nie tylko tym zewnętrznym pancerzem, ale i niewzruszonością sumienia. Ten żołnierz wykonał ogromną pracę intelektualną i moralną, żeby w tym skazańcu, którym Rzymianie pogardzali, zobaczyć Boga. Boga, który zginął w najbardziej haniebnym

sposób (zauważcie, że żaden rzymski obywatel nie był krzyżowany). Jak długo to zranienie i współodczuwanie z Chrystusem musiało w nim pulsować, żeby publicznie, nie bojąc się, że straci autorytet wśród swoich żołnierzy, powiedział: „Zaprawdę, ten człowiek był Synem Bożym”...

„Rozdarła się na dwoje zasłona w przybytku” – to zdanie interpretuje się jako symboliczne zburzenie mostów między wierzącymi i niewierzącymi, w ogóle między ludźmi. Czy przyjdzie kiedyś czas, gdy uwierzemy, że dzięki Wcieleniu Chrystusa wszyscy jesteśmy równi? Nie dzięki umowie społecznej, rewolucji francuskiej mającej na sztandarach hasło „wolność, równość, braterstwo”, ale dzięki Bogu-Człowiekowi. Równość wyprowadzamy stąd, że Chrystus (i mówię to jako bioetyk) podzielił nasz biologiczny los w każdym calu, wtargnął w biologię. Kiedy bada się tzw. cuda eucharystyczne, w które nie musimy wierzyć, to zastanawia przede wszystkim to, że Jezus miał grupę krwi, którą można by przetoczyć każdemu. Nie jestem szczególnym entuzjastą takich znaków, ale może warto na tym zawiesić naszą nadzieję?

Bardzo lubię ks. Tomáša Halíka, który wyznaje, że jest sceptykiem. Ale bycie sceptykiem nie oznacza cynizmu. Sceptyk zadaje pytania. Nie cieszymy się z cudów eucharystycznych, z domniemanego cudu czy znaku w Sokółce, bo one w głębszej warstwie oznaczają kryzys wiary w realną obecność.

Myślmy o sobie dobrze. Zainteresujcie się piękną, wspaniałą liturgią. Jeśli pozwolicie, to na koniec ciekawostka dotycząca liturgii. Jak sądzicie, w momencie, gdy się dolewa wody do wina, to co wino symbolicznie oznacza? Większość pewnie powiedziałyby: „krew”. Tymczasem nie. Bóstwo Chrystusa. A woda? Człowieczeństwo. Przed reformą, z wyjątkiem mszy pogrzebowej, kapłan czynił znak krzyża nad wodą. Nie wiem, dlaczego z wyjątkiem mszy pogrzebowej. Ale robił to po to, by pokazać, że człowieczeństwo jest uświęcone przez dotyk Bóstwa. To jest pasjonujące. Bardzo was proszę, żebyście nie zaniedbali także swojej wiedzy liturgicznej. Amen.

Droga Krzyżowa

Nim przystąpimy do rozważania Męki Pańskiej, pozwólcie, że jeszcze coś dopowiem, bo wcześniej mi to umknęło w tej mojej przeżartej nowotworem głowie: akt wiary nigdy nie zwalnia nas z myślenia. I tak jak ci współcześni Jezusowi Żydzi ocenili, że Jan wprawdzie nie uczynił żadnego cudu, ale wszystko, co powiedział o Jezusie, było prawdą, mimo że ich autorytety mówiły im zupełnie co innego, tak my musimy podejmować stale ryzyko myślenia. Słuchać tego, co najgłębiej w nas. Jaki ci Żydzi musieli włożyć wysiłek intelektualny i duchowy w to, by dokonać właściwego wyboru, posłuchać sumienia... Zapraszam, byśmy włożyli w tę Drogę Krzyżową podobny wysiłek.

Jeżeli chcemy to naprawdę przeżyć, to musimy naszą mentalność, naszą myśl, naszą jaźń przenieść tam. Pójdźmy Drogą Krzyżową.

Stacja I

Chrystus na śmierć skazany przez Piłata

Piłat mógł Chrystusa uwolnić. Prześledźmy jego sytuację życiową. Już wiemy, że podpadł Cezarowi, bo został zesłany, wprawdzie jako możny, ale na krańce cesarstwa, do zapomnianej prowincji. Wie, że jedna „podpadziocha” kończy jego karierę, a może nawet życie. Mimo to uczciwie próbuje Chrystusa bronić. Choć pyta: „cóż to jest prawda?” (fakt, jest cynikiem, no i nie ma ochoty słuchać odpowiedzi), jest przekonany o niewinności Jezusa. Chce, i słusznie, manipulować tłumem, by ten Go uwolnił. To jednak nie wyszło, bo zadziałała mentalność tłumu, który widząc krew, żąda jej więcej. Nie wiem, czy ewangeliści nie dodali od siebie, że lud został podburzony przez kapłanów i starszych, by go usprawiedliwić... A może i w nas jest skłonność do płynięcia z prądem, uznawania cudzych poglądów za swoje? O wiele łatwiej być z tłumem niż przeciwko niemu.

Co najbardziej obciąża Piłata? Oczywiście jego sumienie. A była nim jego żona mówiąca po cichu: „Nie miej nic wspólnego z tym Sprawiedliwym. Dziś we śnie wiele wycierpiałam z Jego powodu”. Jaka odważna, niesamowita kobieta, która uwierzyła czemuś, co mogłaby zlekceważyć – majakom sennym. I w tamtych czasach, kiedy pozycja kobiet była zupełnie inna niż dzisiaj, nie wahała się pójść do swojego męża z tym ostrzeżeniem. To znaczy, że budowała z nim relację, wiedziała, że on ma dobre serce i że może do niego apelować. Kiedy Piłat ostatecznie się poddał? Wtedy gdy usłyszał: „Jeżeli Go uwolnisz, nie jesteś przyjacielem Cezara”. Czy nie zdarza się tak, że jesteśmy prawi do czasu, gdy ta prawość zaczyna nas coś kosztować? Że na ogół jesteśmy przyzwoici, ale kiedy zaczyna nas ta przyzwoitość boleć, albo gdy musimy nadstawić głowę, kieszeń lub cokolwiek, to tę uczciwość rozmieniamy na drobne? Czy w każdym z nas nie ma starannie ukrytej linii granicznej, która pęknie przy odpowiednim nacisku? Za co, za ile dalibyśmy się kupić albo sprzedać? Czy za stanowisko? Za kościelną purpurę? Za popularność? Za miłość? Czy jest coś, za co można kupić naszą uczciwość? Jak byśmy się zachowali w sytuacji granicznej?

Piłat był w sytuacji granicznej. Mógł jednym pstryknięciem uwolnić Jezusa, nawet proponował, by skazać Barabasa, ale się zawahał. To jego zawahanie dla nas oczywiście było zbawienne, ale jak wpłynęło na losy Piłata – tego nie wiemy. Czy on przed śmiercią nie żałował swojej decyzji? Czy kiedyś nie popełniliśmy takiego błędu, który rzutował na nasze dalsze

życie, miał długofalowe konsekwencje? Czy popełnione przez nas zło nie nabrało takiego rozpędu, że narastało w postępie geometrycznym?

Stacja II

Jezus bierze krzyż na swe ramiona

To byłoby banalne, gdybym przypomniał, że Chrystus wziął krzyż na swoje ramiona, a potem zapytał, czy i my bierzemy. Może trzeba zapytać nieco inaczej: czy nie jesteśmy krzyżem dla innych? To też jest ważne pytanie. Może przez zwykłą, codzienną nieuprzejmość, przez uwzięcie się na kogoś, kto nas potwornie denerwuje, stajemy się dla innych krzyżem? Przyjrzyjmy się naszym domom. Jeżeli nie jesteśmy w stanie wstać z łóżka bez focha, jeżeli specjalnie ranimy naszych najbliższych, tych, którzy nas najbardziej kochają, bo doskonale ich znamy i wiemy, gdzie uderzyć, by najmocniej zabolalo – to chyba mamy teraz nad czym myśleć.

Stacja III

Chrystus po raz pierwszy upada pod krzyżem

O pierwszym upadku Chrystusa zwykło się mówić jako o upadku za grzechy lekkie. Zastanówmy się, czy są grzechy, które są dla nas przyjemne. Które, jak już nieco wcześniej mówiłem, tak wrosły w nasze sumienie, że wcale nam się nie chce zabierać za ich wykorzenianie? Może to moje nałogowe żarcie polędwicy, Bóg wie kiedy i Bóg wie po co, jest czymś, nad czym nie chcę się zastanowić? Może jestem tak obsesyjnie przywiązany do kieliszka czerwonego wina i do jednej cieniutkiej fajeczki wieczorem, że mnie to wcale nie niepokoi? Może pozwalam sobie na coraz więcej, rozciągając moje sumienie? Może kiedyś o te grzechy, które nazywam słabostkami, tak się potknę, że wpadnę twarzą w moralne błoto? Każdy ma takie grzechy, które nazywa niewinnymi słabostkami. Czy są niewinne?

Stacja IV

Chrystus spotyka swoją Matkę

Ewangelia o tym spotkaniu nic nie mówi. W naturalistycznej „Pasji” Mela Gibsona podoba mi się to, że tam Matka Najświętsza nie ma szansy podejścia do Chrystusa. Na pewno spotkała Syna (bo o tym mówią Ewangelie) pod krzyżem i było to spotkanie niezwykle. Na początku Jego drogi krzyżowej może dane jej było tylko widzieć Go zza rogu, może tylko ich spojrzenia się skrzyżowały? Może bardzo chciała Go przytulić, pomóc Mu, ale była zbyt słaba, by się przez tłum przecisnąć? A może ktoś jej to uniemożliwił? Jak wyglądają nasze relacje z matkami? Czy kiedy są pełne energii, łatwo nam je czuć, ale jak to robić, kiedy są chore albo po prostu nas

denerwują, jak nikt są w stanie doprowadzić do szewskiej pasji? Inna sprawa: jak kochać matki krzywdzicielki? Czy nie warto cofnąć się i popatrzeć na naszych rodziców jako na ludzi, którzy kiedyś być może zostali skrzywdzeni, więc mają prawo do słabości, do jakichś dziwactw? Wszystko jedno czy żyją, czy nie. Pomyślmy o nich.

Są takie okresy w życiu, że traktujemy rodziców jako największe autorytety. Dopiero później ich autorytet się nadkrusza, dostrzegamy, że być może wcale nie są tacy anielscy. Czy akceptuję to, że moi rodzice się starzeją? Przyznam się, że mam spory kłopot, kiedy widzę, że moja mama, która całe życie wykladała na uczelni i była, jest damą, zawsze pięknie ubraną, ma coraz mniej sił. Kiedy widzę, że mojego ojca, duszę towarzystwa, która rozkręcała każdą imprezę, starość przygniata. Na szczęście nie zgasł mu intelekt i sumienie. I chociaż jest gościem, który określa siebie jako zupełnie niewierzącego, to dla mnie, księdza, jest największym autorytetem. Czy umiem szukać autorytetów także poza Kościołem? To pytanie do każdego z nas. Czy jestem zadufanym katolikiem, który uważa, że jedynie to, co katolickie, jest prawe? Kim są moi duchowi ojcowie? Czy umiem korzystać z mądrości innych? Czy akceptuję starzenie się moich rodziców? Czy przygotowuję się na to, żeby przejąć za nich odpowiedzialność? Żeby trzymać ich za rękę wtedy, kiedy będą odchodzić? Czy wizualizuję sobie zarówno ich, jak i moją śmierć? Po co? Żeby nas nie przerażała, żeby nam nie skoczyła do gardła, nie zabiła strachem. Może to dziwnie brzmi, ale jest w tym sens: żeby śmierć nas nie zabiła smutkiem i strachem.

Stacja V

Szymon z Cyreny przymuszony do niesienia krzyża Chrystusa

Można by klasycznie podejść do tematu, rozwodząc się nad tym, że ktoś Go przymusił do dźwigania krzyża, więc to robił. Ale niekoniecznie tym chciałem się dzisiaj zająć. Zawsze mnie uderza przy tej stacji, kiedy przypominam sobie, że Szymon z Cyreny, ojciec Aleksandra i Rufusa, właśnie wracał z pola. Nikt w życiu nie zapamiętałby Aleksandra ani Rufusa, gdyby ich ojciec nie otarł się o mękę Chrystusa. Albo Szymona z Cyreny – biednego człowieka, spieszącego się do domu po całym dniu pracy, z pewnością głodnego, marzącego, by się pobawić ze swoimi dziećmi, który został przymuszony do czegoś innego. To jest nauczka dla wszystkich pyszałków, począwszy od celebrytów – nie wyłączając onkocelebryty – poprzez wszystkich, którym wydaje się, że na nich świat się kończy. Pomyślcie, ilu było możnowładców, jednowładców, którzy prawie ogłosili się bogami tego świata. Stalin, Hitler... Żeby nie wymieniać wszystkich zbrodniarzy od początku ludzkości. Są i współcześni satrapowie – z Putinem i Łukaszenką na czele – którym się wydaje, że będą wieczni. To nieprawda. Wieczny będzie ten, kto ma odwagę wejść w przestrzeń męki Chrystusa, skrzyżować swoje życie z Jego życiem. Kto Go spotyka, przyjmując Jego ciało i krew. Kto przeżywa to i daje się temu pochłonać. Gdybyśmy byli w pełni świadomi, że On tu jest, że to nie jest jedynie symbol, tobyśmy musieli się rozpląnąć ze szczęścia. Na szczęście Pan Bóg nam takiej wrażliwości eucharystycznej oszczędza. Na szczęście, bobyśmy nie byli w stanie funkcjonować, jeździć czy chodzić po ulicach.

Prawość sumienia zdarza się u wielu niewierzących. Nie trzeba być katolikiem, żeby być dobrym człowiekiem. Ale jest taka wyjątkowość, dla której zostałem katolikiem, a potem księdzem. Ten moment, kiedy mogę chwycić hostię i powiedzieć: „Hoc est enim Corpus Meum”. Wierzę w przeistoczenie, które się dokonuje.

Bycie księdzem i praca w hospicjum to najpiękniejsze, co mi się w życiu mogło przydarzyć. Życzę wam, żeby wasze spotkanie z Chrystusem było silnym przeżyciem. Żebyście napisali życiem swoją ewangelię. Jak? Na to pytanie każdy musi odpowiedzieć w głębi siebie. Na co się zda twoja i moja historia życia? Co z niej będzie zapisane?

Stacja VI

Chrystus spotyka Weronikę

Ewangelia w ogóle o niej nie wspomina, jedynie tradycja. Jeżeli tej

tradycji wierzyć, to Weronika musiała do Chrystusa zostać dopuszczona. A może się przedarła, bo była dość odważna i silna? Może była na tyle wrażliwa, że chciała tym najprostszym gestem dobroci ulżyć Jezusowi? Nie wiadomo, czy stała się chrześcijanką. Może nie. Może do końca życia była pobożną Żydówką? Jedno jest pewne – miała dobre serce.

Chętnie bym zobaczył tę scenę, przyjrzał się, kto pomagał Weronice, a kto jej przeszkadzał. Kto mówił: „gdzie leziesz?”, a kto: „przejdź”. Zastanówmy się, czy naszym zaniedbywaniem pewnych spraw nie przeszkadzamy innym w wypełnianiu ich obowiązków. Czy jako chrześcijanie nie uważamy, że mamy monopol na dobro? Czy nie odsuwamy tego dobra, nawet gdy jest na wyciągnięcie ręki? Czy są wymiary, w których moglibyśmy od siebie więcej wymagać? Zwłaszcza gdy idzie o najzwyczajniejsze, ludzkie, serdeczne gesty.

Jeden z bardzo popularnych artystów młodego pokolenia, który jest znany z tego, że drze Biblię, miał odwiedzić swojego dobrego kumpla leżącego u mnie, u nas w hospicjum. Tylko nie wystarczyło mu odwagi. Dlaczego? Nie wiem. Czy każdemu z was wystarczyłoby odwagi, by w każdym, nawet najbardziej zewnętrznym odpychającym człowieku, zobaczyć twarz Chrystusa? Czy w naszych braciach menelach widzimy Jego umordowaną twarz? Czy jesteśmy na tyle wrażliwi, żeby nikomu nie odmawiać ludzkiej godności? Czy zawsze dzielimy towarzystwo na swoich i obcych?

Stacja VII

Jezus po raz drugi upada pod krzyżem

Ten drugi upadek interpretuje się często jako upadek pod ciężarem naszych grzechów ciężkich, świadomych wyborów zła. O nieznośnym trzasku w sumieniu mówimy od początku rekolekcji, nie musimy więc być tacy klasyczni. Zainteresujmy się zatem czymś innym. Może podczas drugiego upadku Chrystus przestał liczyć na wspomagającego go Szymona z Cyreny? Może to Szymon się potknął i pociągnął za sobą Jezusa? Albo tak osłabł, że Chrystus nie był w stanie sam tej belki utrzymać? Czy jak się czegoś podejmiemy, jesteśmy wytrwali? To jest pytanie o naszą wierność, uczciwość w sprawach codziennych (oddam pięć złotych albo nie zapomnę o pozdrowieniach), ale także w tych fundamentalnych – czy jestem wierny moim wyborom sprzed lat, z czasów, gdy mówiłem sobie: „na pewno tego nie zrobię”, „na pewno tak się nie zachowam”? Czy jestem wierny w celibacie? Czy jestem wierny w małżeństwie? Czy wybielam samego siebie

nawet wtedy, kiedy lecę gębą w błoto? Czy jestem wierny temu, co potwierdziłem przysięgą w obliczu Boga? Czy kiedyś przysięgałem fałszywie? „Są trzy prawdy: święto prawda, tys prawda i gówno prawda” – zauważał ksiądz Tischner. Fałszywa przysięga to jest ten ostatni rodzaj prawdy. Czy nie było tak, że kimś manipulowałem pod przysięgą? Po to, żeby go złamać, wykorzystać? Nie tylko fizycznie, ale na przykład żeby wykorzystać jego kontakty, jego wpływy? Czy lubię się ogrzewać w świetle albo w blasku gwiazd, ludzi popularnych? Czy pompuje to moje ego? Czy jestem zupełnie od tego wolny?

Stacja VIII

Jezus spotyka lamentujące niewiasty

Musiał być niezwykle poruszony tym widokiem, skoro pod koniec męki znalazł siły, by te kobiety ofuknąć. Czym one go zdenerwowały? Chyba nie fałszywym lamentem, ale przede wszystkim tym, że zaniedbały swoje obowiązki. „Płaczcie raczej nad sobą i nad waszymi dziećmi”. On na nie niemal wrzasnął, a to znaczy, że uważał tą sprawę za ważną.

Nikogo z państwa nie podejrzewam, żeby uciekał od własnego życia, na przykład w życie serialowe. Ale kto wie, może niejednokrotnie uciekamy od prawdy codzienności w jakiś wykreowany świat. Czy będąc ojcem, matką, babcią czy kimkolwiek innym, zadaję sobie trud intelektualny i duchowy, żeby wejść w mentalność tych, którzy są mi powierzeni? Żeby być z moimi wnukami, nie tylko je oceniać, ale spróbować zrozumieć? To jest trudne. „Nie płaczcie nade Mną; płaczcie raczej nad sobą i nad waszymi dziećmi”. Czy nie udaję zaskoczonego, kiedy dowiaduję się, że moje dzieci lub wnuki wpadły w narkotyki, a wiem, że nie miałem czasu i chęci, by być z nimi naprawdę?

Czy gdy idę do umierających i nie wiem, co powiedzieć, wyrzucam z siebie banały: „będzie dobrze, będzie dobrze, będzie dobrze”? Czy nie sadzę komunałów, kiedy widzę cierpienie, podczas gdy powinienem tylko powiedzieć: „Nie bój się, jestem i będę z tobą, wszystko jedno, jak będzie”? Czy mimo że się z wyborem twojego syna lub córki nie zgadzasz, próbujesz nie stracić kontaktu z własnym dzieckiem? Czy zadajesz sobie trud, żeby wejść w jego życie? Prosty sprawdzian. W której jest klasie: a, b czy c? Jak ma na imię jego najlepszy kumpel? Czego się boi? Co lubi? Co jest jego pasją? Czy nie lekceważę własnych dzieci? Czy obowiązki religijne nie wyprzedzają u mnie obowiązków stanu? Czy nie zaangażowałem się tak w jakąś wspólnotę, gdzie klaszczemy w łapki i chwalimy Jezusa, że zapuściłem

relacje domowe? Obowiązki stanu wyprzedzają obowiązki religijne i zawodowe. Pamiętajmy o tym.

Stacja IX

Jezus po raz trzeci upada pod krzyżem

A może ktoś Mu pomógł, popchnął Go, bo miało być szybciej? A może z tego upadku nie wstał? Przecież to było już u szczytu Golgoty. Może Go po prostu wzięto pod ręce i pociągnięto po kamieniach? Może nie dano Mu szansy na wstanie o własnych siłach? Może czasami jesteśmy tak zniecierpliwieni błędzeniem naszych sióstr i braci, że zapominamy o tym fragmencie Ewangelii: „»Panie, ile razy mam przebaczyć, jeśli mój brat wykroczy przeciwko mnie? Czy aż siedem razy?«. Jezus mu odrzekł: »Nie mówię ci, że aż siedem razy, lecz aż siedemdziesiąt siedem razy«”? Czy jesteśmy niecierpliwi w poprawianiu innych? Czy nie dajemy im szansy, by dojrzeli do pewnych prawd i wstali o własnych siłach? Czy zakładamy, że ludzie z danego środowiska, z trudną historią życiową na pewno do niczego się nie nadają? A może komuś powiedzieliśmy prawdę tylko po to, by go złamać? „Nie kocham cię. Nigdy cię nie kochałem”. I zniszczyliśmy w nim wiarę, zaufanie i być może już nigdy nie podniesie swojej podeptanej godności?

Stacja X

Jezus odarty z szat

To odarcie było totalne. Tylko nasza chrześcijańska wstydlivość pokazuje Chrystusa na krzyżu z przepaską na biodrach. Było inaczej. Bóg-Człowiek został kompletnie obnażony. Nie było żadnej tajemnicy. Obnażali go różni ludzie. Pewnie też z różną dozą zaangażowania. Jedni mieli w tym jakąś paskudną, sadystyczną przyjemność. Żołnierze robili to po prostu z obowiązku, jak w czasie tysiąca innych egzekucji, w których brali udział. Inni może wstydliwie odwracali wzrok, żeby nie patrzeć na to, co się dzieje z tymi porozrywanymi ranami.

W sytuacjach ekstremalnych w której grupie bym się znalazł? Gdy nie mogę do końca zapobiec złu (a przecież takie sytuacje się zdarzają), to czy przyłączam się do tych, którzy krzywdzą? Czy idę za głosem tłumu? Czy próbuję protestować i nie dokładać swojej ręki? Czy mnie cudze cierpienie obchodzi?

Stacja XI

Chrystus do krzyża przybity

Te gwoździe przybijał konkretny człowiek, a nie jakaś baśniowa postać. Nie przeraził się skurczu mięśni, a może i krzyku bólu cierpiącego Boga-Człowieka. Ktoś konkretny tę belkę wciągał. Jacyś ludzie podzielili między siebie byle jakie, zakrwawione szaty Jezusa. Nie rwali tuniki, bo ona nie była szyta, ale dziana, więc rozsypałaby się. Ciągnęli o nią losy. Tacy byli pragmatyczni. Czy i ja taki nie jestem? Czy nie zrobię wszystkiego, żeby zarobić 50 złotych? Czy jestem dusigroszem? Czy jestem małostkowy? Pamiętliwy? A może jednak wielkoduszny? W dawaniu siebie, swojego czasu, uważności. W przebaczeniu.

Stacja XII

Chrystus umiera na krzyżu

Chrystus umiera. Prawdziwie, biologicznie umiera. Do końca z Niego szydą. Następuje ten najbardziej dla mnie dramatyczny moment, gdy Jego ciało jest napięte do granicy możliwości, podobnie jak Jego ludzka wola. Jezus jest na granicy zwątpienia, kiedy krzyczy: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?”. Ale ostatecznie wygrywa. Mówi: „wykonało się” – tak, jak my byśmy powiedzieli: „dałem radę”. Czy jestem przygotowany na ekstremalne sytuacje wyboru między życiem a śmiercią? Na to, by w przypadku ciężkiej choroby nowotworowej móc świadomie odstąpić od uporczywego leczenia? Żeby pomóc w tej decyzji moim najbliższym? Czy będę kurczowo trzymał się życia? Czy będę oszukiwał ukochanych, gdy będą

umierający, i powtarzał im, że mają żyć (bo tak się boję zostać sam)? Czy pozwolę im odejść, kiedy będą już wyczerpani? Czy znajdę w sobie tyle siły, by powiedzieć: „Tato, mam, kocham cię. Proszę, wybac mi wszystko. Ja tobie wszystko wybaczam. Jeżeli chcesz odejść, odejdz”. Z hospicyjnej praktyki wiem, że często ludzie nie mogą umrzeć wtedy, kiedy czują, że to już czas, bo nie mają pozwolenia ze strony rodziny. Przerywamy ich agonię, kiedy robimy sceny. A jeżeli ktoś robi sceny przy umierających, to znaczy, że chce sobie coś załatwić, że relacje z chorym nie były harmonijne. Nie da się nadrobić straconego czasu, odbudować w dwa tygodnie pobytu w szpitalu relacji, nad którymi się nie pracowało latami. Nie da się. Czy kocham? Czy dbam o relacje? Czy miałbym w sobie tyle klasy, żeby pozwolić odejść lub odpłynąć w spokoju moim najbliższymi?

Stacja XIII

Ciało Jezusa złożone w ramiona Matki

Maryja i jej fundamentalna rola pod krzyżem. Przyjęła ciało zmarłego Syna. Widzimy to choćby w Piecie Michała Anioła. Był w niej ból wszystkich matek, które muszą pożegnać swoje dzieci – wszystko jedno czy malutkie, czy dorosłe.

Kiedyś, kiedy występowałem w podwójnej roli, w takiej grupie wsparcia dla ludzi osieroconych, poprosiłem matki z tej grupy, żeby pomogły mi przygotować mamę na moje odejście. Zacytowałem im jej słowa: „Słuchaj, Jan, jak ty umrzesz, to ja rozpadnę się na kawałki”. Kiedy to zrobiłem, one – z takim dziwnym spojrzeniem, jakby wiedziały więcej – powiedziały: „chciałaby”. Wtedy zrozumiałem, że rzeczywiście to się nie zdarzy, z tym trzeba żyć dalej.

Czy potrafię złożyć siebie w ramiona przyjaciół? Złożyć, czyli zaufać bezgranicznie. Czy cenię przyjaźń? Czy mówię o kimś: „to jest mój były przyjaciel”? Czy uważam przyjaźń za formę miłości? Czy nie szafuję tym słowem w dobie facebookowych znajomości? Czy byłem wierny w przyjaźni? Czy ludzie mogą mi zaufać?

Stacja XIV

Ciało Jezusa złożone w grobie

Ciało, bo to nie jest Jezus. On, jak wiemy, umarł, a potem zmartwychwstał. Odkupił tych, którzy byli tam jeszcze przed Jego przyjściem. Mówimy w credo, że wstąpił do piekieł, a to była otchłań, w której oczekiwały te dusze, które nie mogły osiągnąć zbawienia. Jak to dokładnie wygląda, wyjaśni się, kiedy staniemy po tamtej stronie. Zanim to

nastąpi, pamiętajmy, że zmarłych trzeba grzebać. To jest ostatni uczynek miłosierdzia wobec ciała. Błagam, nawet jeżeli w wyjątkowych sytuacjach korzystamy z kremacji (znowu odzywa się we mnie tradycjonalista), to nie stawiamy prochów na kominku albo nie rozsypujemy ich w ulubionym miejscu. Chrześcijanin, katolik, powinien mieć swój grób, z którego mógłby zmartwychwstać. Choć oczywiście Pan Bóg sobie poradzi z tymi, których ciała wyparowały w piecach hutniczych albo zostały pochłonięte przez morskie odmęty.

Bardzo proszę mnie pochować w sutannie, z humerałem (jeżeli któryś z księży będzie wiedział, co to jest), w albie, z cingulum i stułą na krzyż, z manipularzem, w takim ładnym, czarnym ornacie, żeby dzieci mojego rodzeństwa wiedziały, że wujek nie wyparował, nie zniknął. I że śmierć jest czymś zupełnie realnym i normalnym. Zdarza się nam, śmiertelnikom. To jest tak oczywiste jak to, że tu przed wami stoję.

Jeżeli chodzi o kwestię zaświatów, to jesteśmy pewni, że Pan Bóg po tamtej stronie nie odbierze nam wolnej woli, będziemy samoświadomi. I to jest wspaniałe.

Czasem umierający boją się, że gdzieś się rozpląną. Nie. Będziemy samoświadomi. W jakiś trudny do zdefiniowania dziś sposób będziemy mogli wchodzić z sobą w interakcje. Może przesyłać sobie myśli? Nie wiem. Z pewnością będziemy zaskoczeni.

Teraz o czymś najpiękniejszym... Chciałbym państwa zachwycić wizją zbawienia i przerazić wizją potępienia. Otóż widzę to tak: stajemy z całą prawdą o sobie wobec Boga, którego rozumiem jako światło osobowe (żeby nie pójść w buddyzm). Osobowe światło piękna, dobra, prawdy i miłości, nie żaden zielony stolik i waga. Prześwietleni przez Bożą prawdę, dobro i miłość widzimy, czy zarówno przez fundamentalne, jak i te drobne, codzienne wybory pasujemy do Boga. Jeśli tak, to nasze poczucie szczęścia będzie przyrastało w postępie geometrycznym. 2, 4, 8, 16, 32, 64, 128 i aż do nieskończoności. Zaskoczy nas ta dynamika. Dążenie do tego stanu rzeczy możemy nazwać czyścieniem. Dla mnie oznacza on cierpienie z tęsknoty, że nie mam w sobie jeszcze tyle światła, by zjednoczyć się z osobową Światłością. Ale pamiętajmy, że w ramach naszej wolności istnieje też opcja inna: zachowując pełną godność, stajemy po tamtej stronie i orientujemy się, że przez fundamentalne i drobne wybory, jakich dokonaliśmy, do Boga nie pasujemy. Czujemy dysproporcję między własną ciemnością a tym Bożym światłem. Jesteśmy ciemnością, chcemy się schować. I to nie tyle Bóg nas

potępia, ile my uciekamy od światła – w nicość, nienawiść i samotność. Gdyby tych dwóch opcji nie było, to nasza wolność nie miałaby sensu.

Dziękujemy Ci, Chryste, że poniosłeś za nas śmierć krzyżową. Chwalimy Twoje Zmartwychwstanie, na które już w wielkim napięciu czekamy.

Spowiedź na krawędzi

W czasie spowiedzi ważą się ludzkie losy,
trwa wyścig o wieczność.

Drodzy państwo!

Pewnie zaintrygował państwa tytuł tej konferencji – „Spowiedź na krawędzi”. Jeżeli uczciwie popatrzeć na sakramenty, to właściwie każda spowiedź jest spowiedzią na krawędzi. Bo to jest walka pomiędzy życiem a śmiercią. Tradycyjna teologia moralna uczy nas, że jeżeli umieramy w grzechu ciężkim, to delikatnie rzecz ujmując, nasze zbawienie jest mocno zagrożone, jeżeli nie wątpliwe. Jeśli z własnej winy długo trwamy w grzechu ciężkim, tym bardziej. Zatem na początku kilka słów na temat dobrej spowiedzi. Jej warunki doskonale znamy, ale przede wszystkim należałoby zrobić przegląd, czy z jakiegokolwiek powodu nie zdarzyła się nam spowiedź świętokradzka. Taka, w czasie której specjalnie zatailiśmy jakiś grzech. Czasami mamy wątpliwości, czy wszystko do końca wyznaliśmy. Grzechy, te naprawdę zapomniane, które przypominają nam się, kiedy wstajemy od konfesjonału, są odpuszczone. Tutaj trzeba być bardzo uczciwym. Jeżeli rzeczywiście zapomniałem, bo się zdenerwowałem, a to nawet był bardzo ciężki grzech, to mogę zupełnie śmiało przystępować do komunii świętej. Oczywiście ten grzech należy wyznać jako zapomniany w czasie następnej spowiedzi.

Przeważnie najwięcej wątpliwości w sumieniu budzą grzechy przeciwko Panu Bogu i bliźnim. Spróbujmy się kilku przyjrzeć. Mamy przykazanie: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”. Wcale nie musi chodzić o to, że oddawali państwo cześć jakiemuś bożkowi. Może o te momenty, kiedy żyliśmy tak, jakby Boga nie było. Czy była taka chwila, w której fundamentalnie zaprzeczyłem Jego istnieniu? Kiedy powiedziałem: „nie istniejesz” albo się Go wyrzekłem? Czy był taki moment, kiedy zrobiłem coś świętokradzkiego: odbyłem świętokradzką spowiedź, świętokradzko przyjąłem komunię świętą (ze względu, na przykład, na nacisk społeczny, bo byłem na pogrzebie, na ślubie, bo czułem się przymuszony przez tych, którzy patrzą)? Czy, nie daj Panie Boże, gdzieś zbeczczyłem najświętsze postacie? To się bardzo rzadko zdarza, ale to jest jeden z najcięższych grzechów – świadomie zniszczyć Najświętsze Ciało Pańskie.

„Czcij ojca swego i matkę swoją”. Bardzo łatwo ich czcić, kiedy na miano matek i ojców zasługują, o wiele trudniej, kiedy jest inaczej. Czy nienawidzę swoich najbliższych? Życzę im źle? Czy jest coś, czego nie potrafię im wybaczyć? Tego, że czułem się odrzucony, że mnie nie kochali, że mnie krzywdzili fizycznie, psychicznie i, nie daj Panie Boże, seksualnie? Oczywiście, jeżeli byliście krzywdzeni, to nie był wasz grzech, ale ich.

Przebaczenie oczyszcza przede wszystkim tego, kto wybacza.

Tutaj zrobię taki wtęret: ostatnio nastąpiła niemądra moda na tzw. spowiedź furtkową, czyli taką, która ma odblokować nas międzypokoleniowo. Komisja Episkopatu stwierdziła, że jest to niepoprawne, bo może prowadzić do nerwicy sumienia. Istnieje prawdopodobieństwo, że nieustannie będziemy wracać do tych samych grzechów, będziemy uważać, że przez pokolenia grzechy się powielają. A to nieprawda. Pewne skłonności czasem przekazujemy genetycznie, np. skłonność do alkoholu, ale to nie jest skłonność duchowa. Należy unikać takiej schizofrenii przy spowiedzi, nieustannego spowiadania się z grzechów dawnych albo doszukiwania się grzechów międzypokoleniowych.

„Nie zabijaj”. Pewnie nikt z nas tu obecnych nie zamordował nikogo z zimną krwią. Ale nie trzeba od razu takiej wielkiej armaty. Można popełnić aborcję we wczesnej fazie, używając środków wczesnoporonnych. Można też nie stanąć przy kobiecie, nie wziąć odpowiedzialności za wspólnie przecież poczętą osobę ludzką. Kanon mówi, że wszyscy, którzy pozytywnie współpracowali przy spędzeniu płodu, są obciążeni tym grzechem. A pozytywna współpraca to jest pochwalanie, ułatwianie. Jeżeli czujemy, że przyczyniliśmy się do aborcji, powinniśmy się z tego wypowiadać.

Wiem, że dawniej nie było takiej świadomości jak dziś. Dlatego niektóre starsze panie, które miały nieszczęście popełnić tego typu grzech, wciąż strasznie się oskarżają. Wtedy spowiednik musi powiedzieć: „Stop. Odkreślamy to, co było, grubą linią. Proszę już nigdy do tego nie wracać”. Bo jeżeli nieustannie wracamy do grzechu już wyznanego, to oznacza, że nie do końca ufamy Bożemu miłosierdziu. To jest wielkie zagrożenie, ale z drugiej strony – zuchwałe ufanie w Boże miłosierdzie też nim jest. Widzę w polskim Kościele pewną roszczeniowość związaną z kultem Bożego miłosierdzia. Ona jeszcze nie dotyka zuchwałego grzeszenia przeciwko Duchowi Świętemu z bezgraniczną ufnością w miłosierdzie Boże, ale czuję, że jest w tym coś niepokojącego.

„Nie cudzołóż”. Zwykliśmy przywiązywać do tego przykazania, w moim odczuciu, zbyt wielką wagę. Tak jakby całe nasze życie duchowe miało się wokół niego kręcić. Jesteśmy tutaj niezwykle dla siebie i innych wymagający. Oczywiście to, co dotyczy życia seksualnego, jest bardzo ważne. Trzeba to po prostu uporządkować. Jeżeli coś się wydarzyło, to się wydarzyło. Jeżeli w naszym życiu bywała pornografia, no to bywała. Trzeba to powiedzieć. Jeżeli bywała masturbacja, to trzeba to powiedzieć, ale nie

pastwić się nad tym. Bo tego typu grzechy mają tendencję do tego, żeby nas upodlić. To jest taki mechanizm: upieramy się, że nigdy już nie popełnimy tego grzechu, ale napięcie w nas rośnie, jesteśmy kuszeni, łamiemy się, a potem czujemy coraz bardziej beznadziejni. Należy uznać grzech, ale – jak to młodzi mówią – nie wkręcać sobie filmu. Nie myśleć: taki jestem beznadziejny, okropny, paskudny. Jeżeli zdarzyło się tak, iż czuliśmy jako dorośli ludzie, że nie było w tym zgody wolnej woli, to można powiedzieć: nasze ciało nas nie słuchało, ale sumienie cały czas mówiło „nie”. Wtedy należy uznać, że – u dojrzałych ludzi – mamy do czynienia z niepopelnionym grzechem ciężkim. Warto zapytać o to spowiednika. Powiedzieć: popełniłem taki lub inny grzech nieczysty, ale bez pełnej zgody wolnej woli. To jest dobry obszar do ćwiczenia własnego sumienia. Czy to było dobrowolne, czy to było chciane, czy miałem możliwości, żeby tego grzechu nie popełnić, czy byłem świadomy, że to był grzech?

Nikt za państwa sądów w sumieniu, w tym naszym wewnętrznym sanktuarium, nie wykona. Nawet jeśli w tej tak często omawianej dziedzinie związanej z przykazaniem „nie cudzołóż” mamy coś na sumieniu, nawet jeśli są to grzechy niezwykle ciężkie, trzeba po prostu mieć odwagę je wyznać. Miewaliśmy w życiu takie momenty, jak byliśmy młodszy, może na studiach albo jeszcze wcześniej, kiedy zupełnie nas ponosiło. Często zupełnie zwykli ludzie mają zupełnie niezwykle zachowania. Tego się nie ma co wstydzić, choć wiem, że to przekroczenie siebie w tym intymnym aspekcie jest dużym problemem.

Pytanie o wierność jest jednym z fundamentalnych. Czy byliśmy wierni w naszych związkach? Czy byliśmy wierni w małżeństwie? Czy byliśmy wierni w związkach przedmałżeńskich? I to nie tylko fizycznie, ale psychicznie?

Teraz „nie kradnij”. Z kradzieżą, jakkolwiek – intelektualną czy zwykłą materialną, wiąże się zadośćuczynienie. Bez zadośćuczynienia właściwie nie możemy mówić o tym, że ten grzech został odpuszczony. Bez zadośćuczynienia, i to z lekkim naddatkiem, nie możemy mówić o pełnym pojednaniu z Panem Bogiem i bliźnimi. To przykłady najlepiej obrazują problem. Zdarza się tak, że do spowiedzi przychodzą kierowcy autobusów, ciężarówek, którzy mówią, że kradną paliwo. „Wprawdzie jeździłem ostrożnie, czyli mało spalałem, ale później kradłem paliwo firmowe”. Spowiednik powinien ustalić, ile mniej więcej tego paliwa było. Załóżmy 50 litrów ropy. Ile kosztuje litr ropy? 50 litrów x 4 złote = 200 złotych, prawda?

Gdy spowiednik ustali z penitentem, na ile została dokonana kradzież, ma obowiązek powiedzenia: „Łaskawy panie (albo pani), proszę oddać. Jeżeli to jest możliwe, oddać pracodawcy w ten sposób, żeby tego nie zauważył i żeby pan nie dostał nagrody, że nagle zatankował za swoje. I proszę to zrobić z lekkim naddatkiem. Żeby wyrównać tę szkodę, a później jeszcze ze swoich pieniędzy (a nie z pieniędzy rodziny) proszę dać coś zupełnie anonimowo na jakiś dobry cel”. Nie mówię, że na hospicjum, bo to byłoby świńskie z mojej strony, gdybym zadawał za pokutę wspieranie hospicjum, które prowadzę. Tak nie wolno.

Są w życiu momenty przełomowe, kiedy decydujemy się na spowiedź generalną. Zachęcam was do takiej spowiedzi. Radziłbym się nie ustawiać w jakiejś kosmicznej kolejce, tylko wcześniej wybrać sobie księdza, u którego chce się wyspowiadać. Czy zachęcam do uprawiania priestingu? Tak. Niektórzy uprawiają shopping, clubbing, inni churching (szukają kościołów, w których jest dobre duszpasterstwo). Jest wskazane, by dla dobrej spowiedzi uprawiać priesting, czyli szukać księdza, zasadniczo stałego spowiednika. Jest problem ze stałym spowiednikiem, bo za pierwszym razem mi przypasował, był OK. Za drugim razem czułem się po spowiedzi uwznioślony, bo się pilnowałem. Przy trzecim razie, kiedy mam wyznać grzechy, których się wtedy wstydzilem, ksiądz mnie już poznaje. I to jest ten moment dojrzałości duchowej, kiedy się przed naszym stałym spowiednikiem przełamujemy, przestaniemy obawiać, że on nas będzie oceniał. Potem pójdziemy do niego z kolejną słabością, z której do tej pory nie potrafiliśmy zrezygnować. Świadoma praca nad sobą świadczy o duchowym rozwoju.

Pierwszym momentem, w którym należałoby zachęcać ludzi do spowiedzi generalnej, jest czas przed ślubem. By ten ślub nie był wydmuszką. Ale błagam, by nie spowiadać się po to, żeby ksiądz podpisał kartkę. Jeżeli państwo mają to robić byle jak, to przyjdźcie do mnie, ja wam podpiszę papiery. A zresztą – ile razy widać, że ludzie sobie sami podpisują, np. ksiądz Kowalski w Pikutkowie. Papier przyjmie wszystko, można go oszukać. Ale własnego sumienia i Pana Boga mówiącego w sumieniu oszukać się nie da. Zatem należałoby wszystkich narzeczonych przygotowywać do takiej bardzo głębokiej spowiedzi podsumowującej ich życie. Często bywa tak, że to jest spowiedź z okresu od bierzmowania do dwudziestki, dwudziestki piątki. Przynajmniej z perspektywy Trójmiasta tak to wygląda, że jest spory odsetek ludzi, którzy przestali się spowiadać jako dzieci, a teraz mamy już dorosłą osobę z całym pękiem dziecięcych i

dorosłych grzechów.

Mówię narzeczonym: niekoniecznie musimy mordować się, na przykład, z tą całą teologią małżeństwa. Ona jest mniej więcej znana. Ale musicie się przygotować porządnie do spowiedzi po to, żebyście mieli poczucie gigantycznej wolności, kiedy staniecie w drzwiach kościoła, kiedy ksiądz po was wyjdzie. Możecie być nawet w brudnych jeansach, ale będziecie szczęśliwi, że jesteście tylko wy i Pan Bóg. Nie będziecie się przejmować, że ciocia z Wąbrzeźna nie przyjechała.

Drugim momentem, w którym szczególnie polecam spowiedź generalną, jest ten, gdy popełniliśmy jakiś ciężki grzech, który nas upodlił. Przypominam sobie, siedziałem w wakacje w konfesjonale w Sopocie, i przyszedł do spowiedzi starszy ksiądz. Mówił, że się, mówiąc najdelikatniej, strasznie łajdaczy i nie może w ogóle nad tym zapanować. On był w moralnym dołku, ale też był tak skruszony... Przyjechał na wakacje i kompletnie mu puściły wszelkie moralne hamulce. Twierdził, że ma z tym problem od wielu lat. Naprawdę miał sporo na sumieniu. Ale przyszedł ze szczerym wyznaniem, że łzami. Zapytałem go, co powinienem mówić, gdy przyjdą do spowiedzi młodzi księża albo w ogóle młodzi ludzie, którzy dali się ponieść tego typu uciechom? I on mnie tak wzruszył... Z ogromną szczerością powiedział: „Mów im, że to jest ułuda. Tylko się wydaje, że na tym można zbudować szczęście”. I to we mnie zapadło. Spowiedź tego zdruzgotanego grzechem kapłana, który jednak miał tyle siły, żeby się podnieść. Łaska Boża jest przeogromna. Wtedy, kiedy popełnimy jakiś potwornie ciężki grzech (nie chcę wyliczać, szanując państwa inteligencję), musimy się zdobyć na taką naprawdę poważną spowiedź, najlepiej z całego życia, żeby wykorzeń przyczyny tego najpoważniejszego grzechu, które może nawarstwiały się latami.

Ostatni rodzaj spowiedzi na krawędzi, w której często uczestniczę jako spowiednik, to ta na łożu śmierci. Fascynujące są, proszę państwa, ludzkie sumienia. Niezwykłe. Niezbadane. Kiedy ludzie są w agonii, zachowując przytomność, albo kiedy czują, że śmierć już się zbliża, naprawdę niczego nie muszą udawać i zasadniczo nie kłamią. Poza sytuacjami naprawdę patologicznymi. Muszę powiedzieć, że fenomen wyparcia, fenomen dobrego samopoczucia mnie zawsze obezwładnia. Czasem mamy tzw. pacjentów z ZZA, czyli z zespołem zależności alkoholowej. Alkoholików, którzy często byli potworami dla własnych rodzin. Mam, na przykład, wiedzę od żony takiego alkoholika, która go przywiozła do hospicjum, że to był potwór, że ją

katował, że kiedy nie chciał, by miała dzieci, to skakał jej po brzuchu, zmuszał do aborcji, pił, tłukł, sprzedawał gospodarstwo po kawałku. Przychodzę spowiadać tego mężczyznę – robimy to od pierwszego do ostatniego przykazania. Mówię: „panie Ryszardzie (oczywiście wymyślam teraz imię), chciałbym, żeby to była porządna spowiedź, czy mogę panu zadawać pytania?”. Muszę mu zapewnić warunki intymności na tyle, na ile się da. Jeżeli może, to wychodzimy z pokoju. Jeżeli nie, to wyjeżdżamy łóżkiem. Kiedy dochodzimy do pytania: „A jak w pana małżeństwie?”, on odpowiada: „Świetnie. Pasma sukcesów”. Pytam: „Był pan dobrym ojcem i mężem?” „Tak, na pewno. Zawsze byłem z nimi. Nigdy ich nie krzywdziłem”. Nie mogę podać w wątpliwość jego słów. Muszę założyć, że albo wszystko, co złe, wyparł i tak naprawdę jest nieświadomy, że spowiada się świętokradzko, albo zostawić go Bożemu miłosierdziu. Rozgrzeszyć, kiedy jestem prawie pewien, że on spowiada się świętokradzko, a potem podać mu komunię świętą, oczywiście na jego odpowiedzialność.

Ale bywają też piękne historie. Kiedy ludzie już niewiele mogą mówić, wtedy mam prawo odstąpić od tzw. integralności spowiedzi, czyli od pełnej formuły. Na ogół spowiadający się kiwa wtedy głową na tak lub na nie, a ja zadaję konkretne pytania, tłumacząc, dlaczego tak robię. Bywa, że ludzie znajdujący się w tej krańcowej sytuacji początkowo się obawiają. Ale kiedy się przekonują, że chcę dla nich dobra i że Chrystus Pan jest dobry, to się otwierają. Mówią rzeczy, o których całe życie nie mówili. To jest bardzo ryzykowne zachowywanie – najpoważniejsze grzechy trzymać do godziny śmierci, bo możemy nie zdążyć. Albo może nie zdążyć ksiądz. Ale to są niezwykle uwalniające historie.

Najbardziej wzruszają mnie nawróceni komuniści. Nie lubię komunistów typu Konrad Wallenrod. Lubię komunistów czerwonych do szpiku kości, a nie tych jak rzodkiewka – z wierzchu czerwona, a w środku biała. Bo oni zawsze mówią: „ja tam w partii nikim nie byłem, ja tak budowałem system, by się jak najszybciej rozleciał...”. To są oszuści. Oni zawsze twierdzą, że byli jedynie kierowcami czy szeregowymi członkami partii. Cenię tych, którzy mieli odwagę stanąć wobec wyrzeczenia się Pana Boga.

Kiedy jeszcze byłem kapelanem w szpitalu i chodziłem z komunią świętą, to leżący na jednej sali ubek był strasznie ordynarny, krzyczał: „Nie chcę. Spadaj, klecho” albo był jakiś taki dziwny: „Powiem, kiedy będę chciał”. Ale nie byłbym prawdziwym duszpasterzem, gdybym do niego nie

zaglądał, nie pukał, trochę go nie zaczepiał, gadał o pogodzie. I pewnego dnia on mówi: „Już!”. Ja zaskoczony, a on powtarza: „Już jestem gotowy do spowiedzi”. Tak przygotowanej głębokiej spowiedzi, jakby to psychologowie powiedzieli – z tak ogromnym kontaktem z sobą, nie miałem albo miewam rzadko. On wyznał: „Proszę księdza, byliśmy świętymi krowami, łamaliśmy ludziom kręgosłupy, łamaliśmy ludziom sumienia, rozbijaliśmy się po pijanemu samochodem, byliśmy nie do ruszenia”. Drażyłem temat, bo dla mnie to jest ciekawe antropologicznie. „Jak to się stało, że tak pana sumienie się zdegradowało?” On na to: „Wojna się skończyła, jak miałem 17 lat. Nie skończyłem żadnej szkoły. Poszedłem do milicji, ona dała mi wykształcenie, wyprała mi mózg. Potem wstąpiłem do UB, awansowałem. To był świat, który mnie ukształtował”. Chciałem dociec, jak było z prawością jego sumienia. „A nie czuł pan, że to jest złe, sumienie panu nic nie mówiło?”. Odpowiedział: „Mówiło. Moja matka była prostą kobietą ze wsi, ale zawsze powtarzała, że nie można nikogo krzywdzić. Gdy dorosłem, wyrzuty sumienia zalewałem alkoholem. Opamiętanie przyszło, kiedy (użył liczby mnogiej) zabiliśmy księdza Popiełuszkę. Ale wtedy nie miałem już odwagi się wycofać. Bo wszystko bym stracił. Byłem tak wkorzeniony”. Wielki, wielki gość, że zdobył się na taką szczerość.

Kiedy indziej w hospicjum leżała niegdyś postawiona wysoko w partii kobieta. Gdy przychodziłem, mówiła, że nie chce mieć nic wspólnego z Kościołem. Była niezwykle elokwentna i bardzo chciała ze mną rozmawiać na wszystkie tematy poza religijnymi. W pewnym momencie powiedziała: „Jak ksiądz będzie naciskał, to ja będę się usztywniała”. Uszanowałem to. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Ale jej stan się sukcesywnie pogarszał. Znów wymyślałam na poczekaniu imię: „Pani Ewo, mam do pani dwa pytania. Czy zrobiłaby mi pani ten zaszczyt, żebym mógł być na pani pogrzebie? Ona odpowiada, że tak. „Ale proszę mi powiedzieć, czy mam iść przed trumną czy za nią? Ona na to: „Niech mi ksiądz da dwa dni do namysłu”. Po tych dwóch dniach powiedziała, że przed trumną. No to ja: „Pani Ewo, nie jestem pracownikiem Cepelii, nie chcę uczestniczyć w czymś nieprawdziwym. Chciałbym, żeby pani się spróbowała z Panem Bogiem pojednać”. Ona znów poprosiła o dwa dni do namysłu, a potem bardzo prawdziwie pojednała się z Panem Bogiem. Co ciekawe, poprosiła, żebym nikomu w hospicjum o tym nie mówił, żeby kapelan (mój zastępca) do niej nie przychodził z komunią, żeby nikt się nie dowiedział o jej nawróceniu. Chciała, żeby to zostało między mną, nią i Panem Bogiem. Została pochowana po katolicku,

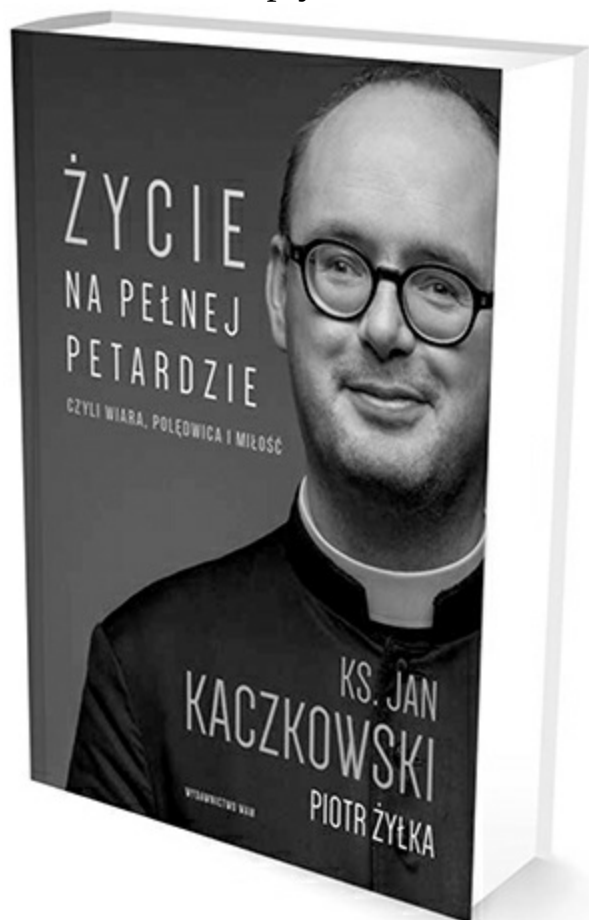
przyjmowała ode mnie sakramenty, udzieliłem jej namaszczenia chorych. Zachowała prawdziwą duchową klasę, klasę na krawędzi.

I ostatnia rzecz. Proszę pamiętać, że w godzinie śmierci można rozgrzeszać wszystkich ważnie i godziwie. Kościół na godzinę śmierci daje tyle przywilejów, że nawet największym zbrodniarzom, największym grzesznikom, tym, którzy wpadli w karę ekskomuniki z tego czy innego powodu, nawet zastrzeżoną papieżowi (czyli związaną z dwoma grzechami: świadomym zniszczeniem postaci eucharystycznej i zdradą tajemnicy spowiedzi), mogą zostać odpuszczone grzechy.

Spowiedź na krawędzi. Dlaczego ją tak nazwałem? Bo praca w hospicjum, która jest pracą na wysokim poziomie adrenaliny, najdobitniej uświadamia mi, że w czasie spowiedzi ważą się ludzkie losy, trwa wyścig o wieczność. Wiele zależy od tego, czy mi się chce, czy mi się nie chce, czy dochowałem staranności. Bo jeżeli dochowałem i nie zdążyłem z posługą, to mogę w sumieniu czuć się wolny. A jeżeli nie dochowałem, bo byłem leniwy, zbyt długo składałem skarpetki albo coś po prostu mi odbiło, to noszę ten ciężar w sumieniu. Dlatego dopóki będę mógł, to z tego mojego hospicyjnego piętka będę się zczołgiwał do pacjentów, żeby być w momencie zgonu. Zresztą w dyżurce pielęgniarek wisi wielka kartka: „Bezwzględnie wołać księdza, kiedy ktoś umiera”. I moje panie pielęgniarki czasem mnie przekonują, że nie ma sensu iść, bo przecież jestem zmęczony, a ten pan już kilka razy był namaszczony. I tak idę. Bo chciałbym, żeby przy moim zgonie był kapłan, który nie tylko ważnie i godziwie udzieli mi rozgrzeszenia, ale będzie się modlił i udzieli absencji z odpustem zupełnym. I wtedy będę zupełnie wolny od doczesnych kar.

Czasem, kiedy moi pacjenci słyszą, że udzielam im tego sakramentu w niebezpieczeństwie śmierci, przeszywa ich strach. Żeby rozładować atmosferę, mówię: „Pani Grażyno, teraz już jest pani tak chroniona, że z kopytami do nieba bez żadnych przystanków”. Czego państwu i sobie życzę.

Ksiądz Jan Kaczkowski
w inspirującej rozmowie z Piotrem Żyłką
zdradza źródła swojej niesamowitej energii i nieskończonych pokładów
 optymizmu.



O swoim życiu i polskim Kościele mówi z odwagą i dystansem osoby,
która pokonała własny strach.



**Kupując tę książkę, wspierają Państwo działalność Puckiego Hospicjum
Część dochodów ze sprzedaży książki zostanie bezpośrednio przekazana
na działalność statutową Puckiego Hospicjum**

Inne formy wsparcia hospicjum to: • przekazanie darowizny na konto (zależy
nam bardzo na regularności wpłat)

PL38 8348 0003 0000 0017 2404 0001

SWIFT (BIC): GBWCPLPP

• przekazanie darowizny pieniężnej przelewem transferowym • przekazanie
darowizny rzeczowej

• przekazanie 1% podatku

KRS 0000231110

e-mail: puckiehospicjum@wp.pl

tel.: 58 678 03 95

www.hospitium.org

Hospicjum pw. św. Ojca Pio ul. Dziedzictwa Jana Pawła II 12

84-100 Puck

Zeskanuj kod, aby przejść do filmu
Moja Droga Krzyżowa Ks. Jana Kaczkowskiego
lub kliknij [TUTAJ](#)



© Wydawnictwo WAM, 2016

Opieka redakcyjna: Olaf Pietek Redakcja: Joanna Podsadecka

Korekta: Dariusz Godoś

Projekt okładki i opracowanie graficzne Katarzyna Ewa Legendź

Fot. na okładce © Damian Kramski www.damiankramski.com

NIHIL OBSTAT

Prowincja Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego ks. Jakub Kołacz
SJ, prowincjał

Kraków, 18 grudnia 2015 r., l.dz. 333/2015

ISBN 978-83-277-0489-4

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447

faks 12 62 93 261

e.wydawnictwowam.pl

www.wydawnictwowam.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink.com

woblink

Table of Contents

Część pierwsza

1. Lek na lęk
2. Czasem trudno zrozumieć tę bliskość
3. Trzeba umieć przegrać
4. Warto się namęczyć
5. Programowanie trwania w łasce
6. Nie łammy sobie sumień
7. Jesteśmy biologią, jakoś się musimy zepsuć
8. Mięsień bliskości
9. Otuleni miłością
10. Niewierność jest przegraną
11. Obowiązki przed pobożnością
12. Nadzieja wbrew wszystkiemu
13. Czas niepewności
14. Blask wolności
15. Cud pełzający
16. Przypadek nie przypadkiem
17. Cierpliwość wobec Boga
18. Sprawy niezłatwione
19. Darmo dawajcie
20. Zaufanie na zmywaku
21. Walka o lepszą wersję siebie
22. Unieść swoją wolność
23. Bóg jest czuły

Część druga

- Rekolekcje z ks. Janem. Herod, Piłat, setnik i inni
- Droga Krzyżowa
- Spowiedź na krawędzi
- Karta redakcyjna